REJESTR DOTYCZY:

JANTA Aleksander

s/c dra Stanisława i Heleny

z d. Juraszów

* 11 grud. 1908 w Poznaniu

kraj: POLSKA

+ 19 sierp. 1974 w South Hampton

kraj: US

pochowany: urna z prochami zmurowano w

nr grobu: katakumbach warszawskich Powązek

Nr rejestracyjny

458 / 74

Nota zamieszczona:

w tomie .....

czesci .....

Indeks

Copyright: 1970
B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.

znak rozpoznawczy

Uwagi:

TW 8-6917

ALEXANDER JANTA

88-28 43RD AVENUE
ELMHURST, N. Y. 11373

Nota:

Przypisy:

Źródła i bibliografia:	**znak rozpoznawczy**
Dziennik Polski 21.8.74 - wzmianka o śmierci	18/21.VIII.74/
S.Łoza "Czy wiesz kto to jest" - nota biograficzna	1o5
Tydzien Polski 31.8.74 - wspomnienie Janiny Tokarskiej	47/31.VIII.74/

* Kruszewska, Mirosława: Aleksander Janta (1908-1974) - odchodzący w niepamięć; [w:] Pamiętniki Literackie Rok XLVIX, czerwiec 2015, s.51-61

* Nowotarska, Rzia: Pan Aleksander [w:] Archiwum Emigracji, zeszyt 2, Toruń 1999

INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE, WEDNESDAY, AUGUST 21, 1974

Obituaries

Alexander Janta, Polish Poet In U.S., Duped Nazis in War

NEW YORK, Aug. 20 (NYT).—Alexander Janta, 66, a Polish writer, poet and translator and former director of the Paderewski Foundation, died yesterday in a hospital in Southampton, N.Y.

Mr. Janta was best known as the author of "I Lied to Live," published in 1944. As a war correspondent with Polish forces fighting with the French armies when the Germans broke through in 1940, he donned a French uniform to avoid the harsher treatment the Germans inflicted on the Poles. Speaking French, he was assigned as a farm laborer in Germany and eventually got back to France, where he joined the Polish underground and made his way to London.

He was sent to Washington as an assistant to the Polish military attaché, was wounded in the Netherlands in 1944 and later lectured widely in the United States.

A second book, "Bound With Two Chains" (1945), told of his experiences as a prisoner.

In 1949 he settled in Buffalo, where for six years he was active in Polish-American community affairs.

Afanasi Eshtokin

MOSCOW, Aug. 20 (UPI).—Afanasi F. Eshtokin, 61, a member of the Communist party Central Committee and a deputy to the Supreme Soviet (parliament), died today, Pravda reported.

Mr. Eshtokin also was first secretary of the Kemerovski Regional Committee of the Communist party.

Kanji Tsurusawa

OSAKA, Japan, Aug. [illegible]

Zmarł Janta-Połczyński

W Ameryce zmarł poeta i publicysta Aleksander Janta Połczyński. Urodzony w r. 1908 w Poznaniu, dał się poznać w okresie przedwojennym jako doskonały korespondent i reportażysta „Wiadomości Literackich" i „Gazety Polskiej".

21.8.74

Po wojnie osiadł w Stanach Zjednoczonych, gdzie nadal rozwijał żywą działalność literacką. Ogłosił przeszło 30 książek powieściowych, podróżniczych, wspomnieniowych i szereg tomów poezji.

FP. 31.3.74.

Aleksander Janta-Połczyński

Olunio — tak go nazywały kuzynki, z przekorną, nieco ironiczną czułością, zapewne dlatego, że lubił się popisywać łobuzerskimi powiedzonkami, prowokować, nie dawać spokoju, zadziorny, zaczepliwy. Gdy go ścigały, „uciekał" za drzwi udając przestraszonego.

Wesół, uroczy, beztroski, dobrego serca, zarażał radością życia.

Był oczkiem w głowie dziadka. „Dziadkiem" dość powszechnie nazywano starszego pana, zamożnego ziemianina, Jantę-Połczyńskiego, od wielu lat wdowca, który otaczał się młodymi i ludźmi ze świata artystycznego. Zapraszał ich do swego apartamentu w parkowej dzielnicy Poznania. Odbywały się tam rozmaite spotkania i przyjęcia. Pewnej letniej nocy u „dziadka" był bal. Na tym balu wśród licznej tzw. śmietanki towarzyskiej był też oczywiście Olo Janta-Połczyński.

Strojno, gwarno, świetliście, rzęsiście. Szampan i różne bowle z kryształu i niekryształu z chłodzącymi napojami. Gospodarz krążył między gośćmi dostojnie lecz przyjacielsko, uosobienie gościnności i dobrych manier pełnego prostoty prawdziwego dżentelmena. Wysoka, nieco koścista postać, z lekka pochylona, o twarzy pogodnej, skorej do uśmiechu.

Olo w swoim żywiole, pełen żarcików sytuacyjnych, udających styl stosowny do okazji. Bal! Jakież to czasy — eleganckie panie „z towarzystwa", jak wtedy mówiono, wytworni panowie...

Poproszono Witolda Kłosa (syn starosty Poznania), o piosenkę na nowo popularną, bo śpiewaną przez będącego wtedy u szczytu sławy Jana Kiepurę: *„O sole mio"*. Proszony miał nośny, ciepły tenor. Zaśpiewał, otrzymał entuzjastyczne oklaski, także dla swej pieśniowej włoszczyzny.

Olunia nie trzeba było prosić. I nawet nikt go nie prosił. Pomimo to stanął, choć wprawdzie nie na miejscu eksponowanym, przy fotopianie, ale przy mniejszej grupie, paru „chrząknięciami" osadził się w tonacji i zaczął:

„Żebyś ty, Kasiu,
raz przy niedzieli
Te swoje nogi umyła..."

Tylko tyle.

Ale efekt!... O to mu właśnie chodziło. I choć piorunowany spojrzeniami jednej z kuzynek, tym razem nawet bez zbytniego pośpiechu udawał „zastraszonego", choć obowiązkowo ukrył się między kotary za filarami ogromnego salonu.

★

Wspomnienie tego balu odżyło mi w pamięci, kiedy niedawno ujrzałam fotografię w jednym z numerów „Wiadomości" przy szkicu literackim, jakże poetyckim w realistycznym widzeniu rzeczy i świata, dokładnie mówiąc — życia uczuciowego zwierząt i ptaków. Fotografia z czasów jego młodości, z okresu, który tak dobrze pamiętam.

A tu nagle wiadomość o jego śmierci tak niespodziewana, że ukłuła szarpiącym żalem. Podróżnik, pisarz, poeta, artysta, już przed wojną dawał dowody swego talentu. Po wojnie doszło jeszcze kolekcjonowanie poloników. I tu także miał szczęśliwą rękę, mimo że mieszka na Nowym Świecie, gdzie relikty dawnej przeszłości, starej kultury, przy tym kraju tak mało znanego jak Polska, zdawałoby się są nie do osiągnięcia...

Za tamtych lat spotykałam go od czasu do czasu, dobrego kolegę wśród braci dziennikarskiej. Dzielił się nieraz ze mną swymi refleksjami i czasem w nieco patronackim tonie udzielał mi rad jako dziennikarce. Bywał też na różnych spotkaniach, prelekcjach, występach teatralnych.

Przez pewien czas modny był w Poznaniu artystyczny kabaret „Różowa Kukułka" ze wspaniałą diseuse'ą Tolą Korian. Szeligowskim, Pugetem, Arturem M. Swinarskim i innymi. Tam się też raz i drugi pokazał. Lubił artystyczną cyganerię, do której sam duchowo należał.

Poznań, miasto raczej prowincjonalne, miało jednak swój magnes. Przyciągało ciekawych ludzi z różnych stron Polski, z Warszawy, Wilna, Lwowa.

Natomiast Olo znikał z Poznania często i na długo, pomykał w stronę Włoch, Francji, Niemiec, Anglii i poza Europę. Trudno nawet było czasem wiedzieć, gdzie się w tej chwili znajduje. W każdym razie „kaczuszka" (czyli ja, według jego fantazji) nie wiedziała.

Wiadomość o jego śmierci zabolała mnie nieodwołalnością swego faktu. W „Dzienniku Polskim" napisano:

„Aleksander Janta-Połczyński nie żyje".

Przetarłam oczy..

Właśnie on, którego nie tak dawno jeszcze temu widział w Londynie mój mąż. Wyglądał doskonale, że aż powitał go okrzykiem: „To po prostu nieprzyzwoitość, żeby po tylu latach i takich przewrotach tak wspaniale i tak młodo wyglądać!"

A oto dziś już Aleksandra Janty nie ma, choć przecież zdawać by się mogło, że tyle miał jeszcze „czasu" przed sobą.

Ktoś, kto zna dzieje jego lat wojennych i powojennych — choć Janta swoim piórem niejedno o sobie powiedział — na pewno napisze o jego życiu, niemałych osiągnięciach i zamiarach tak bezlitośnie przerwanych.

Ja pragnę tylko wyrazić słowo żalu, że nieodwołalny wyrok losu coraz bardziej i coraz częściej kruszy łańcuch promiennych wspomnień o dobrych ludziach prawdziwej kultury ducha i umysłu. Wspomnień z czasu nieograniczonych marzeń i nadziei czerpanych u źródła młodości. To już oddalone i wciąż coraz bardziej się oddalające wczoraj bywa rezwuarem energii do przetrwania niełatwego dzisiaj.

Janina Tokarska

Róża Nowotarska

Dz. Pol. Dodatek 25.7.76

Pisany pomnik dla A. Janty

(Wywiad telefoniczny z prof. Tymonem Terleckim.)

Z Aleksandrem Jantą łączyła mnie bliska przyjaźń. W kilkunastu latach, od chwili poznania interesował się szczerze wszystkimi moimi poczynaniami zarówno literackimi, dziennikarskimi jak i kulturalno-społecznymi. To też gdy zwrócono się do mnie o napisanie wspomnienia o Panu Aleksandrze do zbiorowej książki, propozycję przyjęłam skwapliwie. Wiązanka serdecznych słów, zamiast wiązanki kwiatów. Cegiełki zdań, zamiast cegiełek na budowę pomnika.

Z osobistych spotkań i z listów dowiadywałam się o postępach prac nad książką, o trudnościach spowodowanych strajkiem poczty w Kanadzie, o opóźnieniach (także: mea culpa!) w nadsyłaniu prac przez współautorów i o benedyktyńskiej pracy redaktorskiej nad zebranym materiałem.

Umówiliśmy się z prof. Terleckim późną jesienią ubiegłego roku, że zatelefonuję na wiosnę. Co właśnie zrobiłam. Oto wynik tego telefonu:

Chciałabym porozmawiać z panem profesorem o książce zbiorowej, poświęconej Aleksandrowi Jancie.

—Dobrze pani trafiła, bo właśnie zamknąłem mozolną pracą adiustowania materiału i w formie gotowej do druku przesłałem na ręce Wali Jantowej w Nowym Jorku. Mogę w tej chwili odpowiedzieć na wszystko co panią interesuje.

—Od kogo wyszedł projekt książki?

—Po śmierci Janty wielu jego kolegów i przyjaciół miało poczucie, że jego bogate, czynne i wielostronne życie wymaga pełniejszego podsumowania, niż to jakie było możliwe w istniejących warunkach czasopiśmienniczych. Alternatywa wydawnictwa zbiorowego narzuciła się sama. Podjąłem się redakcji, zapraszając do pomocy Adama Tomaszewskiego w Toronto, co w praktyce oznaczało współdziałanie obojga państwa Tomaszewskich. Stanowią oni dwu-osobowy "team" pisarski i wiązała ich z Jantą nie tak dawna jak mnie, ale chyba równie zażyła przyjaźń.

—Kiedy rozpoczęły się prace nad książką?

—Późną wiosną minionego



Aleksander Janta

symboliczną wymowę. Wymienieni autorzy należą do świata pisarskiego. Czy to samo dotyczy współpracowników emigracyjnych? Czy będzie to tylko książka pisarzy o pisarzu?

—Duży nacisk jest położony na wielostronną działalność literacką Janty, ale byłoby zubożeniem, może nawet sfałszowaniem jego osobowości, gdyby się pominęło jego rozliczne działania praktyczne, jego inicjatywy społeczno-kulturalne, chęć i zdolność wpływania na konkretną aktualną rzeczywistość. Sama pani w swoich wspomnieniach mocno podkreśliła tę stronę zjawiska, któremu na imię Aleksander Janta.

- Tak, uważam go za niesłychanie dynamicznego pisarza, lecz równie dynamicznego działacza kulturalno-społecznego. Ale jak się panu profesorowi udało ogarnąć tak wielki zakres?

—Starałem się o uwzględnienie wszystkich aspektów i o skomponowanie książki, o stworzenie z niej możliwie uporządkowanej całości. "Książka o Grydzewskim", założycielu i redaktorze potrójnych "Wiadomości" — "Literackich" w Warszawie, "Polskich" w Paryżu i Londynie i "Wiadomości" (bezprzymiotnikowych) wychodzących do dzisiaj — jest ułożona alfabetycznie według nazwisk autorów. Książka o Jancie składa się z sześciu działów rzeczowych.

—Może pan profesor przynajmniej ogólnie je opisze — telefon wytrzyma, a ja chciałabym wiedzieć i przekazać Czytelnikom jak najwięcej.

—W pierwszej części są zgromadzone prace o zakroju ty. Cztery szkice dotyczą pionierskiego okresy Janty w Buffalo. Jest wśród nich wzruszające wspomnienie mezzosopranistki w europejskiej skali Geni Las (z domu Jakubczak) rodem z tego miasta, mieszkającej obecnie w Mediolanie. Dwa artykuły ukazują Jantę we współpracy z drukarzami-artystami (Girsem i Gliwą). Dr Aleksander Hertz opisuje jego "przygodę księgarską". Nie pominięto nawet zainteresowania Janty młodzieżą polsko-amerykańską.

—Już bym chciała to wszystko czytać...

—Obawiam się, że musi Pani na to poczekać, a przede wszystkim wysłuchać mnie do końca. W przedostatniej (piątej) części zgromadziłem wspomnienia ściśle osobiste: prof. Richarda Angella (jest to drugie obok Normana Cousins'a, redaktora "Saturday Review" wspomnienia Amerykanina i jedna z pięciu prac w języku angielskim), wybitnej malarki polskiej z San Francisco "Kali" (Weynerowskiej), Gordona, Duszy, Łyska i mego ucznia Wojciecha Juszczaka, którego po studiach w University of Chicago "przekazałem pod opiekę" Janty. I wreszcie...

—Jeszcze coś?

—Już koniec. Książkę zamykają trzy pozycje zupełnie innego rodzaju: kalendarium dat życia, bibliografia książek Janty opracowana przez wybitnego bibliografa emigracyjnego z Kalifornii Jana Kowalika i zestawienie prac rozproszonych po czasopismach (ponad siedemset numerów) dokonane przez wspomnianego już bibliografa krajowego Chojnackiego-syna.

—Nie będę składała gratulacji, wołała "hip, hip, hurra", bo teraz musimy już kończyć. Jeszcze jedno pytanie: Czy będzie rozpisana przedpłata na tę książkę, może jedyną w swoim rodzaju?

—Przedpłata musi być rozpisana — to jest jedyny sposób jej wydania.

—To może przedwczesne pytanie: czy książka będzie ilustrowana? Janta był sam zamiłowanym fotografem. W jego archiwum, które — jak słyszę — ma być złożone w jednym z czołowych uniwersytetów amerykańskich, na pewno znajdują się fotografie z rozmaitych okresów. Czy nie warto tego dołączyć do tylu

redakcji, zapraszając do pomocy Adama Tomaszewskiego w Toronto, co w praktyce oznaczało współdziałanie obojga państwa Tomaszewskich. Stanowią oni dwu-osobowy "team" pisarski i wiązała ich z Jantą nie tak dawna jak mnie, ale chyba równie zażyła przyjaźń.

—Kiedy rozpoczęły się prace nad książką?

—Późną wiosną minionego roku. Natężyły się one po wakacjach. Ostatnie półrocze poświęciłem wyłącznie temu przedsięwzięciu, odłożywszy na bok wszystkie inne roboty pisarskie i naukowe. Rzecz okazała się trudniejsza z rozmaitych względów, bardziej czasochłonna, niż to pierwotnie przypuszczałem, ale przygotowania redakcyjne są wreszcie zakończone.

—Ile prac udało się zgromadzić?

—Mickiewiczowską liczbę 44 ("a imię jego czterdzieści i cztery.") Oczywiście jest to przypadek, nie świadoma intencja.

—Z ilu krajów pochodzą prace składające się na książkę?

—Zaraz...Liczmy: Polska, Stany Zjednoczone, Kanada, Francja, Anglia, Austria, Włochy.

—Siedem! Już to samo obrazuje zakres związków osobistych i korespondencyjnych Janty. Wspomniał pan profesor o krajowych współpracownikach książki mu poświęconej...

—Nie jest tajemnicą, że Janta utrzymywał bliskie stosunki z pisarzami żyjącymi w kraju, interesował się ich działalnością, pomagał im na wszystkie dostępne sposoby, gościł w swoim na Elmhurst. Kilkoro z nich samorzutnie zgłosiło chęć udziału w wydawnictwie, o którym rozmawiamy. Są to: znakomita uczona, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, laureatka nagrody im. Jurzykowskiego, doctor honoris causa The University of Chicago Maria Dłuska, dr. Stefan Papee nauczyciel Janty jeszcze w poznańskim gimnazjum, poeci i dramato-pisarze, prozaicy i krytycy: Tymoteusz Karpowicz, Artur Międzyrzecki, Leszek Elektorowicz, Zbigniew Siatkowski oraz młody bibliograf Wojciech Chojnacki. Mała, ale doborowa reprezentacja.

—To współuczestnictwo ludzi z kraju wydaje mi się drębnością książki. Ma jakąś nie i "Wiadomości" (bezprzymiotnikowych) wychodzących do dzisiaj — jest ułożona alfabetycznie według nazwisk autorów. Książka o Jancie składa się z sześciu działów rzeczowych.

—Może pan profesor przynajmniej ogólnie je opisze — telefon wytrzyma, a ja chciałabym wiedzieć i przekazać Czytelnikom jak najwięcej.

—W pierwszej części są zgromadzone prace o zakroju syntetycznym, kuszące się o określenie całości zjawiska lub o wydobycie jakiegoś jednego rysu górującego nad innymi, jak to próbowali zrobić Miłosz i Kott. Druga część obejmuje materiały biograficzne. Ich zgromadzenie nasunęło mi najwięcej trudności. Na kilkaset listów, które napisałem, w tym zakresie było najwięcej strzałów w próżnię, ścigania mylących tropów. Bardzo wybitny i zaprzyjaźniony ze mną pisarz poznański podjął na moją prośbę rozległą i daremną kwerendę. To pośrednio wskazuje na potrzebę i ważność takich usiłowań jak książka o Jancie, ważność podejmowania ich jak najwcześniej. Mimo trudności udało się zebrać w tym dziale osiem pozycji, które fragmentarycznie oświetlają rozmaite epizody życia, jak okres japoński w ujęciu amb. Tadeusza Romera lub utrwalają pojedyńcze, ale ważne szczegóły, jak wspomnienie z lat szkolnych znakomitego "cancerologa" Dr. Michała Laskowskiego w Buffalo.

—A dalsze partie książki?

—Trzecia jest próbą opisowego i krytycznego ujęcia wielopostaciowej twórczości literackiej Janty — poety, reportażysty, prozaika, eseisty, publicysty, krytyka, tłumacza, wydawcy dokumentów etc. Jest to oczywiście pierwsza, wstępna próba otwierając drogę dalszym, bardziej szczegółowym i pogłębionym badaniom. Następna część jest poświęcona działaczowi. Wydaje mi się ona najbardziej rewelacyjna i fascynująca. Odkrycie przez Jantę fenomenalnego tancerza hinduskiego Rama Gopala ukazane jest z dwu stron, także w oryginalnych, napisanych specjalnie dla książki jego wspomnieniach. Znakomici dziennikarze dwu pokoleń: red. Ignacy Morawski i red. Bolesław Wierzbiański oceniają indywidualność i ewokują profil duchowy Jan-

—Przedpłata m u s i być rozpisana — to jest j e d y n y sposób jej wydania.

—To może przedwczesne pytanie: czy książka będzie ilustrowana? Janta był sam zamiłowanym fotografem. W jego archiwum, które — jak słyszę — ma być złożone w jednym z czołowych uniwersytetów amerykańskich, na pewno znajdują się fotografie z rozmaitych okresów. Czy nie warto tego dołączyć do tylu zgromadzonych przez pana profesora tekstów?

—Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Jan XXIII miał przy jakiejś sposobności powiedzieć: "Io sono solamente il papa" (Jestem tylko papieżem). Jeśli wolno strawestować to powiedzenie, ja jestem t y l k o redaktorem i współautorem. Spełniłem swoje zadanie, jak umiałem. Reszta zależy nie ode mnie, ale od wydawców, od przedpłacicieli, od potencjalnych czytelników, od przyjaciół Janty rozsianych po całym świecie. I — od pani. Do usłyszenia, ale nie prędko i...na krócej.

***

"I — od pani ... I — od pani..." powtarzam sobie słowa profesora Terleckiego. "Niech się pani nie leni..." — przypominają mi się słowa Pana Aleksandra. Może więc, z okazji tego wywiadu, ogłoszę przedpłatę na książkę o Jancie? Jeśli ktoś z Czytelników jest zainteresowany, proszę łaskawie zgłosić się na adres podany poniżej. Kiedyś przecież początek musi być zrobiony. Dlaczego nie dzisiaj?

Róża Nowotarska

Waszyngton, 3 maj, 1976

Zainteresowanych przedpłatą proszę o przesłanie listu lub kartki pocztowej na nazwisko:
Róża Nowotarska
3712 Fulton St. N.W.
Washington, D.C. 20007

Warunki i termin przedpłaty podam w odpowiednim po temu czasie. Nazwiska wszystkich przedpłacicieli będą wydrukowane w książce.

Dziennik Polski najmilszym prezentem

Pamiętniki Literackie Rok XLVIX
Czerwiec 2015 str 51

Mirosława KRUSZEWSKA (USA)

ALEKSANDER JANTA (1908–1974) – ODCHODZĄCY W NIEPAMIĘĆ

W roku 2008, minęła niepostrzeżenie setna rocznica urodzin Aleksandra Janty. Tak samo niezauważalnie minęła czterdziesta rocznica jego śmierci, która przypadła w roku ubiegłym – 2014. Szkoda wielka, iż nie pamięta się o tej przeciekawej postaci – tak popularnej w Polsce międzywojennej i wśród emigracji.

Wstydem powinna okryć się, przede wszystkim, sama polska emigracja – są bowiem jeszcze wśród nas ci, którzy Jantę znali osobiście, przebywali z nim na co dzień, korzystali z jego uprzejmości oraz opieki, cieszyli jego przyjaźnią …

Tej smutnej ciszy nie wypełniło nic…



Aleksander Janta

W archiwum Biblioteki Narodowej znaleźć można skromną teczkę osobową Aleksandra Janty. Niewiele jednak w niej się znajduje. Dla przykładu: między rokiem 2002 a 2009, w ciągu siedmiu lat, teczka nie wzbogaciła się o ani jeden wycinek prasowy czy opracowanie dotyczące pisarza. Przedtem też nie było lepiej. Datę 2002 nosi notatka prasowa, informująca o publikacji Franciszka Palowskiego (1942–2006), „Aleksander Janta-Połczyński. Ballada o wiecznym szukaniu", wydanej przez PWN w Krakowie, w 1990 r. Książka powstała przy współudziale wdowy po pisarzu, Walentyny Janty-Połczyńskiej. Przypuszczalnie, bez jej osobistej inicjatywy i tej publikacji też by nie było. Zadziwia brak informacji spoza Polski. Czy na emigracji o Jancie nie pisano? Pisano, lecz są to rzeczy, najprawdopodobniej, niewarte uwagi polskiej Biblioteki Narodowej.

Pisanie o Jancie (pomijam drugi człon nazwiska, Połczyński, tak, jak to uczynił po wojnie on sam) jest, w pewnym sensie, aktem odwagi. Wymaga drobiazgowego oczytania w temacie, cierpliwości i erudycji, aby to wszystko uporządkować. W końcu, Aleksander Janta wydał drukiem 23 tomy poezji, 10 tomów reportaży, 2 dramaty, 3 powieści, 7 tomów esejów, 4 pozycje w języku angielskim – w tym, jedną zupełnie niezwykłą, muzykologiczną: „A History of nineteenth Century American-Polish Music with annotated Bibliography and Illustrations" (New York 1982).

Nie zapominajmy, iż był Janta także pierwszym tłumaczem japońskiego haiku na język polski. Jego dorobek, to 63 pozycje książkowe i ponad półtora tysiąca publikacji prasowych(!) w różnych językach. Podkreślić trzeba, iż większość książek wydana była nakładem własnym samego autora lub dzięki nielicznym subskrybentom, o których wśród Polaków zawsze jest trudno.

Zastanawiające, iż nikt na emigracji nie porwał się na opracowanie pełnej monografii Aleksandra Janty. Wydana w 1982 r., przez Polską Fundację Kulturalną, praca zbiorowa pod redakcją Jerzego R. Krzyżanowskiego, pt. „Janta, człowiek i pisarz", nie wyczerpuje tematu. Są to bardziej luźne impresje apokryficzne na temat Janty niż naukowa praca monograficzna. I tak już w przypadku Janty pozostało. Zwykle, jeśli ktoś pisał o nim, były to luźne wspominki, w których autorzy korzystając z okazji lansowali przede wszystkim własną osobę, Jantę spychając na plan drugi.

W 2006, Telewizja Polonia, zaprezentowała widzom 38-minutówkę dokumentalną o Aleksandrze Jancie, pt. „Życie jak przygoda". Reżyserem filmu i autorem scenariusza jest Marian Kubera. Trudno to nazwać filmem dokumentalnym – raczej: chaotyczną, składanką pobieżnie posklejanych plotek na temat pisarza. Po wytrawnym scenarzyście i dokumentaliście, jakim wydaje się być Kubera, jak też biorąc pod uwagę jego bogaty dorobek, można było spodziewać się czegoś więcej. Tym niemniej, był to gest w stronę emigracji, którym to gestem starano się wypełnić pustkę, jaka wytworzyła się wokół Aleksandra Janty od lat.

Jest na obrzeżach Tucholi ulica nosząca imię Aleksandra Janty. Powstała dzięki staraniom tylko jednego człowieka – Zdzisława Wegnera. Pan Wegner, urodzony w Małej Komorzy, od dzieciństwa znał Jantę i od wielu lat wytrwale popularyzował dokonania pisarza. Pisał o Jancie, rozdawał ludziom jego książki, które mu przysyłano z zagranicy, bo w kraju po 1945 roku, kiedy wydano powieść „Kłamałem aby żyć", przez 30 lat o Jancie było głucho.

Aleksander Janta-Połczyński – pisarz, poeta, tłumacz, podróżnik, as nowoczesnego reportażu, bibliofil, kolekcjoner poloników, przedwojenny rotmistrz kawalerii Wojska Polskiego, weteran kampanii francuskiej roku 1940, żołnierz francuskiego ruchu oporu, człowiek o niepowtarzalnym życiorysie – urodził się w Poznaniu 11 grudnia 1908 r. Żył jedynie 66 lat, lecz jego niezwykle fascynującym, sensacyjnym wręcz, życiorysem, można swobodnie obdzielić co najmniej kilka osób, jak też nakręcić film akcyjny.

Był synem lekarza, Stanisława Janty-Połczyńskiego (1875–1936) i Heleny z domu Jurasz (1888–1984). Wywodził się z Pomorza, z rodziny ziemiańskiej, osiadłej w Małej Komorzy, w Borach Tucholskich. W Komorzy upłynęło także jego dzieciństwo. Chętnie przyjeżdżał tam z Poznania na wakacje, by spotkać się z rodziną i przyjaciółmi. Dziadkowie Połczyńscy posiadali w Komorzy pałac, zbudowany w 1768 roku przez przodka, Macieja Jantę-Połczyńskiego (1720–1789), dziedzica dóbr Wielka Komorza, ostatniego stolnika inflanckiego z nominacji króla Augusta III, plenipotenta starostwa tucholskiego. Pałac został Połczyńskim odebrany po II wojnie przez władze Polski Ludowej. Niedaleko Wielkiej Komorzy, natomiast, w Dąbrówce, na Pomorzu, znajduje się kościół wybudowany przez tegoż samego Macieja Połczyńskiego. Południową ścianę kościoła wypełniają tablice epitafijne. Jedna nich została poświęcona Aleksandrowi Jancie-Połczyńskiemu. W Dąbrówce jest także mauzoleum rodziny Jantów-Połczyńskich.

Udokumentowany rodowód Połczyńskich sięga do wyżej wspomnianego Macieja, lecz legenda heraldyczna przedłuża go do wieku XIII, kiedy to książę pomorski, Barnim II (ur.ok.1275– zm.1295), posłał dwóch braci Jantów – Jana i Asmusa – na wschodni kraniec swego księstwa, tak, aby sprawowali nad nim pieczę. Jedną z wsi, jakie im podarował, było istniejące do dziś Półczno, od którego wzięło się ich rodowe nazwisko. Od tego Półczna rozsiali się Połczyńscy po całym Pomorzu.

Ze względu na specyficzną historię regionu, mimo przynależności do Rzeczypospolitej, nazwisko Połczyńskich nie zostało odnotowane w herbarzach polskich heraldyków (Paprocki, Niesiecki, Stupnicki). Wymienia je natomiast herbarz Tadeusza Gajla, według którego przynależą oni do znaków herbowych Gwiazda lub Bończa. To zgadza się

z „Wielką genealogią Minakowskiego", która mówi, iż Połczyńscy z Komorzy znaczyli się herbem Bończa. Jest tam też podane drzewo genealogiczne Aleksandra Janty.

Pierwsze nauki pobierał młody Połczyński w Poznaniu. Po maturze studiował polonistykę i ekonomię na Uniwersytecie Poznańskim. Należał do poznańskich grup literackich – „Loża" i „Klub Szyderców". Od 20 września 1926 do 24 kwietnia 1927, pełnił służbę wojskową w słynnym Dywizjonie Szkolnym Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu, skąd skierowano go do 15. Pułku Ułanów Poznańskich. 1 stycznia 1931 roku, mianowany został podporucznikiem ze starszeństwem w korpusie oficerów rezerwy kawalerii. W 1934, przeszedł do rezerwy jako oficer 7 Pułku Strzelców Konnych Wielkopolskich.

Wbrew woli ojca, który pragnął, aby jego syn miał wykształcenie ekonomiczne oraz stabilny zawód, jego zainteresowania zdecydowanie skłaniały się ku dziennikarstwu.

W latach 1928–29, wraz z Józefem Kisielewskim (1905–1966), redagował poznańskie „Życie Literackie" – wśród autorów byli Artur Maria Swinarski (1900–1965) i Wojciech Bąk (1907–1961). W tym samym czasie, ukazała się jego pierwsza książka – nowele o tematyce myśliwskiej pt. „O świcie" (1928), ze wstępem Juliana Ejsmonda. Od tej debiutanckiej publikacji ruszyła lawina druków, jakie składają się dzisiaj na jego gigantyczny dorobek. Przed wojną wydał jeszcze trzy tomiki poezji: „Wielki Wóz" (1935), „Śmierć białego słonia" (1929) i „Krzyk w cyrku" (1930).

Poznań szybko przestaje młodemu autorowi wystarczać. Pragnął wyrwać się w świat. W roku 1929 wyjeżdża do Paryża i studiuje tam dziennikarstwo. Nawiązuje współpracę z pismami w kraju. Do Polski wraca po dwóch latach, lecz wkrótce udaje się, co wówczas było nie do pomyślenia, do Związku Radzieckiego (!). Relacje z tej wyprawy złożą się później na dwa zbiory reportaży: „Patrzę na Moskwę" (1933) i „Wzdłuż i wszerz przez ZSRR" (1933). Zyskuje rozgłos.

W roku 1935 nadsyła reportaże z Ameryki i Japonii, które publikuje następnie w zbiorach: „Odkrycie Ameryki" (1935), „Stolica srebrnej magii" (1935, Hollywood), „Made in Japan" (1935), „Na kresach Azji" (1939). Jego pasją zdecydowanie był Daleki Wschód, zwłaszcza Japonia, gdzie w latach 1933–34 był wysłannikiem rządowej „Gazety Polskiej". To dzięki staraniom Janty, przetłumaczono na język japoński i spopularyzowano w Japonii „Chłopów" Władysława Reymonta. Tłumacz, Assadori Kato, otrzymał w nagrodę Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury, w 1936 roku. Niedługo potem, informował Jantę o pracach nad kolejnymi tłumaczeniami i nad słownikiem japońsko-polskim. Z kolei, Janta stał się jednym z głównych propagatorów kultury japońskiej w Polsce międzywojennej. Jeden z numerów „Wiadomości Literackich" (listopad1937) został przez niego w całości przygotowany jako prezentacja kultury japońskiej.

Jak już wyżej wspomniano, był Janta pierwszym tłumaczem na język polski japońskiego haiku. Przypomnijmy. Haiku jest formą poetycką, związaną z filozofią Zen, która w sztuce zakłada operowanie paradoksem, subtelność, estetyczny minimalizm i wyzbycie się własnego ja. Najlepsze haiku często świadomie nie pozwalają na jakąkolwiek konkretną interpretację, a jednak pozostawiają w odbiorcy ulotne, refleksyjne odczucie, które chciał przekazać poeta. Janta nie tylko tłumaczył haiku z japońskiego na język polski, ale także próbował swych sił tworząc własne haiku po polsku. W roku 1966, opublikował, w słynącej z bibliofilskiej staranności wydań, Oficynie Stanisława Gliwy (1910–1986), pierwszą antologię poezji japońskiej, haiku, w swoim własnym tłumaczeniu. Była to „Godzina Dzikiej Kaczki. Mała antologia poezji japońskiej".

Bogaty zbiór japońskich publikacji Janty znajduje się w archiwum, nieżyjącego już, profesora Uniwersytetu Tokijskiego, Shozo Yoshigami (1928–1996), tłumacza polskiej literatury. Tam też zachował się opracowany przez Jantę, „japoński", monograficzny numer „Wiadomości Literackich" z 1937 r. Archiwum prof. Yoshigami jest zmikrofilmowane i ogólnie dostępne. Pisząc o Japonii lat międzywojennych z perspektywy polskiej, nie sposób pominąć jest roli Aleksandra Janty ani jego prac o tematyce japońskiej. Polscy japoniści po prostu nie mogą o nich nie wiedzieć. Tym bardziej, japonistka tej miary, jak np. dr hab. Ewa Pałasz-Rutkowska, z Wydziału Japonistyki i Koreanistyki UW, specjalizująca się w tematyce polsko-japońskiej. Niestety, jej „Współczesna historia stosunków polsko-japońskich 1904–1945" (Wyd. Trio 2009) nie wymienia Janty ani słowem. Jest to wielce zagadkowe, gdyż Aleksander Janta właśnie, napisał w okresie międzywojennym najwięcej korespondencji z Japonii. Skądinąd wiadomo, iż dr Rutkowska dysponuje wykazem publikacji Janty, jakie znajdują się w archiwum Yoshigami, które osobiście przeglądała, a nawet udostępnia innym badaczom.

Z jednej z podróży do Japonii, Janta przywiózł niezwykłej piękności rzeźbę głowy bogini Kwannon, która w buddyzmie czczona jest jako uosobienie miłosierdzia, piękna i płodności. Pełni ona w azjatyckim synkretyzmie religijnym funkcję podobną do Maryi w katolicyzmie, zajmując uprzywilejowaną pozycję. Często przedstawiana jest z niemowlęciem na ręku. Do jej atrybutów zaliczają się: wierzbowa witka i waza z wodą święconą. Kwannon oznacza dosłownie „obserwować dźwięki", bo uważa się, że wysłuchuje wszystkich próśb. Janta zakochał się w tej rzeźbie, i zanim przypłynęła „Batorym" do Polski, woził ją z sobą po całym świecie. Później, stała przy fortepianie w pałacu, w Małej Komorzy. Przed wkroczeniem Niemców, ukrył ją zakopując w ogrodzie. Do dziś nie została odnaleziona.

Ostatni raz Janta odwiedził Japonię w roku 1956, jako przedstawiciel polskich pisarzy emigracyjnych na światowy kongres Pen Clubu w Tokio.

Od początku lat 30-tych, młody Janta przebywał stale poza Polską. Wizyty w kraju były okazjonalne. Gościł wówczas w Małej Komorzy, ale swemu przywiązaniu do rodzinnej ziemi – skrywanej za nią na co dzień ogromnej tęsknoty – dawał wyraz w wierszach:

> „(...) jeszcze myśl się chwilami zabłąka pod młyn wodny w głąb leśnej doliny, gdzie staw spada pod koła turbiny, gdzie się w workach miękko piętrzy mąka, siwy obłok i jeszcze wspominasz, jak młyn, bajka wśród siatek pająka, naśladuje skrzypiące wiatraki, a w otwartych drzwiach czarodziej – młynarz. Młyn się zapadł w przepaściste bory pod nieobecność stawu z tatarakiem. Już tu żaden nie mieszka czarodziej, tylko chyba cień minionych czarów, wydłużony czasem i rozłąką. I jeszcze skrada się tędy, jak złodziej, próbujący przejść zgubionym szlakiem dróg zasnutych młodością i mąką" („Młyn w Nadolniku").

Poezja stanowiła ucieczkę od doznań reportera, od obrazów, które musiał opisywać i fotografować, przez całe awanturnicze życie. Prawdą jest, że w swoich wierszach nie stworzył nowego języka poetyckiego, nowoczesnych struktur ani nie przedstawił nowej rzeczywistości poetyckiej. Można powiedzieć, że w pełni wykorzystując skamandrycki model poezjowania, wtłaczał w tradycyjne struktury poetyckie treści nasycone tragizmem osobistych przeżyć. Były one udziałem, tak jego samego, jak i najbliższych jego przyjaciół – m. in. Wierzyńskiego i Iwaniuka, czego potwierdzenie znajdujemy w książce opracowanej przez Leszka Koźmińskiego, „Samotność słowa. Z listów do Wacława Iwaniuka" (Lublin 1995), obejmującej prócz listów Janty i Iwaniuka (1912–2001), także korespondencję z Józefem Wittlinem (1896–1976).

Poetyckie utwory Janty zawsze zachowują wysoki ton słowa, skamandrycką elegancję oraz własną, dostosowaną do treści, rytmikę. Nie brak w nich dystansu do samego siebie, lekkiej ironii, poczucia humoru. Nawet w najbardziej nostalgicznych tekstach nie ma sentymentalnego rozczulania się nad sobą. Jest za to bogata przyroda Borów Tucholskich i mocna, męska duchowość, nie poddająca się bezradności czy beznadziei. Jego prawdziwym powołaniem był jednak reportaż. Odbywał liczne podróże do coraz bardziej egzotycznych miejsc, co owocuje kolejnymi publikacjami. Każda jego korespondencja była w Polsce sensacją dziennikarską. Wcześniej, niektóre czasopisma odrzucały jego teksty, pisząc do niego w lekceważącym tonie, jak to m. in. uczynił swego czasu „Dziennik Poznański": „Wrażenia Szanownego Pana nie mogą nikogo zainteresować. Gdyby Pan był Piłsudskim albo Bernardem Shaw drukowalibyśmy z przyjemnością". Teraz odwrotnie – wszystkie gazety prześcigały się w pozyskaniu go dla siebie. W jakimkolwiek zakątku świata się nie znajdował, dochodziły do niego prośby różnych redakcji o przysłanie korespondencji. Jego

nazwisko gwarantowało wysoki, poziom dziennikarski, nietuzinkowe tematy i wieści ze stron, do których polscy dziennikarze do tej pory nie docierali. Współpracował z „Kurierem Warszawskim" i „Gazetą Polską".

Stało się jasne, że wbrew katastroficznym prognozom ojca, młody dziennikarz znalazł szybko pomysł na życie. Co więcej, stworzył na rynku prasowym nową profesję, której do tej pory nie było – został pierwszym polskim reportażystą. Jego niespożyta energia gnała go po świecie, jak huragan. Przewędrował USA, Indie, Afganistan, Birmę, Syjam, Indochiny, Chiny, Tajwan, Mongolię. W latach 1933–34 był korespondentem „Gazety Polskiej" w Japonii. W 1935, z uwagi na jego popularność i reporterską rangę, dostaje zaproszenie do odwiedzenia hitlerowskich Niemiec, by opisać ich „odrodzenie" pod rządami Hitlera. Kategorycznie odmawia. Odwiedzi Niemcy dopiero w 1945 roku, w mundurze polskiego oficera. Wyjeżdża natomiast, jako korespondent wojenny, do Abisynii, zaatakowanej przez Włochy Mussoliniego. Jego korespondencje, w tamtych czasach, w warunkach wojny, docierały do kraju niesłychanie szybko, bo już w dwa tygodnie. Były to nie tylko frontowe opisy, ale także opisy życia tutejszych ludzi, ich zwyczajów, historii. Udało mu się także przeprowadzić wywiad z cesarzem Hajle Selasje.

W 1939, tuż przed wybuchem II wojny, odwiedził po raz drugi Indie, skąd przywiózł do Polski i zaprezentował w Europie młodego hinduskiego tancerza, specjalizującego się w starożytnych tańcach rytualnych, Rama Gopala, którego występy, tak w Polsce, jak w Europie, cieszyły się ogromnym zainteresowaniem. Ram Gopal (1912–2003), zamieszkał później na stałe w Londynie, założył szkołę baletu hinduskiego, ale w sercu pozostał na zawsze po trosze Polakiem i patriotą polskim. Podczas II wojny i po wojnie, z funduszy swojej szkoły, pomagał ofiarnie emigrantom polskim w Londynie. I nie była to pomoc na pokaz.

Kazimierz Wierzyński (1894–1969) nazwał pasję reporterską Aleksandra Janty „furią podróżowania". Maria Dłuska (1900–1992) mówiła o nim „Światowid". Natomiast, Ksawery Pruszyński (1907–1950), wyrażając najwyższe uznanie dla jego twórczości, nazwał go „Rejem polskiego reportażu". I choć już za życia nazywano Aleksandra Jantę tym mianem, jego dorobek publicystyczno-literacki jest dziś zupełnie zapomniany.

W swoich przedwojennych podróżach reporterskich Janta dwukrotnie okrążył glob ziemski. Wrażenie robi już samo zestawienie nazwisk ludzi, z którymi udało mu się zrobić wywiad. Na liście tej są m. in.: cesarz Hajle Selasje, cesarz Chin Pu-Yi, prezydenci Stanów Zjednoczonych, Mahatma Ghandi, Ignacy Paderewski, Władysław Sikorski, Rabindranath Tagore, Andre Gide, Tomasz Mann, Theodore Dreiser, Charlie Chaplin czy też Joseph Goebbels. Wywiad z niedostępnym filozofem i poetą, laureatem nagrody Nobla, Rabindranathem Tagore, był rewelacją, nie tylko ze względu

na sam wywiad, ale również dlatego, że Jancie udało się swego rozmówcę sfotografować. Nie bez znaczenia jest także jego odwaga w nawiązywaniu do tematu homoseksualizmu. Jako jednemu z nielicznych, udało mu się przeprowadzić wywiad z lordem Alfredem Douglasem (1870–1945), słynnym kochankiem Oskara Wilde'a (1854–1900). Janta miał wówczas 23 lata.

Druga wojna światowa zastała go w Paryżu. Od września 1939 do czerwca 1940, służył w wojsku polskim we Francji, jako korespondent wojenny przydzielony do I Dywizji Grenadierów. W akcji, od 12 czerwca do 21 czerwca 1940, dostał się do niewoli niemieckiej, gdzie, mówiąc doskonale po francusku, przez cały czas pobytu w niewoli, (30 miesięcy), udawał Francuza. To uratowało mu życie. Swoje przeżycia w niewoli opisał w książce pt. „Kłamałem, aby żyć: pamiętnik roku niewoli" (New York 1945). W końcu, udaje mu się dostać do szpitala, a potem uciec, w sposób tak sensacyjny i niezwykły, że mogłoby to być przedmiotem innej, fascynującej opowieści. Przez Pireneje (tzw. drogą generalską), w przebraniu niemieckiego oficera wysokiej rangi, przedostał się do Hiszpanii i Gibraltaru, a stamtąd do Anglii, gdzie przywdziewa wreszcie polski mundur. Zdążył jeszcze wziąć udział w kampanii wojsk gen. Stanisława Maczka.

Od listopada 1942 do lutego 1943, pełnił obowiązki oficera ordynansowego przy dowódcy konspiracyjnej organizacji wojskowej w okupowanej Francji (francuski Ruch Oporu). Po inwazji aliantów na Francję, w roku 1944, wstępuje do 1 Polskiej Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka (1892–1994). Jako korespondent wojenny został przydzielony do 24 Pułku Ułanów, z którym, we wrześniu i październiku 1944, walczy w Belgii i Holandii. Za udział w kampaniach wojennych odznaczony został polskim Krzyżem Walecznych oraz dwukrotnie francuskim Croix de Guerre. Swoją służbę wojskową zakończył w stopniu rotmistrza. Demobilizacja, która nastąpiła w 1945 r., zastała go na stanowisku asystenta przy attache wojskowym w ambasadzie rządu RP (londyńskiego) w Waszyngtonie.

Do Polski nigdy nie wrócił. Przebywał na emigracji, najpierw w Niemczech, Francji, Wielkiej Brytanii, by ostatecznie osiąść w Stanach Zjednoczonych. Począwszy od 1948 roku, odwiedzał wielokrotnie PRL, co było w oczach emigracji żołnierskiej i patriotycznej jeszcze bardziej niesłychane niż jego przedwojenne podróże po Związku Sowieckim. Istniało, bowiem, wśród emigracji niepisane prawo, że emigranci polityczni do Polski komunistycznej nie jeździli, nie bywali na imprezach Instytutów Polskich, które, jak wiadomo, były finansowane przez PRL i wykorzystywane do infiltracji środowisk polskich poza granicami kraju. Tak samo, nie wolno im było odwiedzać konsulatów polskich i utrzymywać z Polską komunistyczną żadnych kontaktów. Prawo to było surowo egzekwowane, pod groźbą wykluczenia ze wspólnoty wychodźczej. Piętnowani byli wszyscy, np. pisarze, którzy próbowali wydawać coś w Polsce (tak było z poetą, ks. Januszem Ihnatowiczem, którego zaatakowano

m. in. na łamach „Kultury" paryskiej); biznesmeni, którzy prowadzili handlowe interesy z PRL i ci wszyscy, którzy w ogóle tam jeździli. Janta nic sobie z tego nie robił, uważając, że ma prawo do osobistych kontaktów z krajem – chciał poznać ludzi, nawiązać łączność z pisarzami, wiedzieć co się tam dzieje. Była to z jednej strony ciekawość emigranta-Polaka, z drugiej – ciekawość zawodowego reportera, który zawsze chce wiedzieć co się dzieje, zwłaszcza w miejscach, które są mu bliskie. Uważał, że jego obowiązkiem jest utrzymywać kontakt z krajem. Z tym krajem, w jakiejkolwiek on jest sytuacji politycznej. Stąd, jego częste wyjazdy do Polski. O sobie mówił, że nie jest emigrantem, tylko Polakiem, który wybrał sobie takie miejsce zamieszkania.

Był to czas niesprzyjający wizytom Polaków z zagranicy w Polsce. Nie byli oni tam chętnie widziani. Ponadto, wszyscy przyjeżdżający do PRL narażeni byli na różne niebezpieczeństwa ze strony komunistycznej władzy. Powrót takiej osoby z Polski, a raczej – z paszczy lwa – był przez emigrację różnie komentowany. Wszędzie czaiło się to samo pytanie: poszedł na współpracę z komuną czy nie? Co znaczyło: będzie na nas donosił czy nie?

W roku 1949, Janta wydał w Paryżu książkę, będącą relacją z jego pierwszej powojennej podróży do Polski: *Wracam z Polski 1948: Warszawa, Wrocław, Kraków, Poznań, Szczecin – życie, polityka, gospodarka, sztuka, ludzie i zagadnienia*. Książka spotkała się z bardzo niechętnym, wręcz wrogim, przyjęciem w niepodległościowych środowiskach emigracyjnych, co przełożyło się na dotkliwy, wieloletni bojkot towarzyski jego osoby w tychże środowiskach.

W latach 1951–1954, należał Janta do Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce (Placówka 201 w Nowym Jorku), następnie do Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Stanach Zjednoczonych. Od listopada 1972, ponownie wstępuje do SWAP, pozostając do końca życia członkiem Placówki 123 SWAP w Maspeth, w stanie New York. Wiele pisze, ale jest też niesłychanie aktywny w popularyzacji polskich spraw, polskiej kultury. Jego życie znów pełne jest najróżniejszych działań. Od 1954 roku, jest prezesem Amerykańskiej Rady Polskich Klubów Kulturalnych w Buffalo, gdzie przez jakiś czas był także właścicielem… wytwórni pierogów. W tym samym Buffalo wystawił po angielsku dramaty Adama Mickiewicza: *Dziady* i *Konrada Wallenroda*, w których też występował. Opisuje w artykułach i książkach dokonania Polaków w historii Stanów Zjednoczonych, organizuje wieczory autorskie żyjących tu polskich pisarzy i poetów. Współpracuje z londyńskimi „Wiadomościami" i nowojorskim „Tygodnikiem Polskim". Działa w Fundacji Kościuszkowskiej.

Aktywność Janty w zabieganiu o postrzeganie Polski i jej dorobku nie ma równych sobie do dnia dzisiejszego. Był wielkim znawcą i kolekcjonerem Conradianów i Chopinianów, z których wiele przekazał później do Polski. W jego olbrzymiej kolekcji znaleźć można było rzeczy najczęściej

uznane za zaginione, lub po prostu nie odnotowane w bibliografiach czy kolekcjach istniejących. Od 1960 roku, wspólnie z Aleksandrem Hertzem (1895–1983), prowadzi w Nowym Jorku antykwariat starodruków słowiańskich, aby zapewnić sobie byt materialny. Nie był to przypadek. Od dawna, bowiem, pisarz gromadził polonica – rozmaite druki i pamiątki, z okresu blisko czterowiecznych dziejów Polaków w Ameryce. Wykupywał na różnych aukcjach, wyprzedażach staroci, targach książek, wszystko, co dotyczyło kultury polskiej, a uległo rozproszeniu. Gromadził te skarby ogromnie ofiarnie, bo przecież nigdy mu się nadto dobrze materialnie nie działo. Nieraz, angażował w te akcje ostatnie pieniądze jakie posiadał, m. in. odnalazł i wykupił z obcych rąk kilka listów Chopina i wiele innych bezcennych poloników. Ratowanie polskich skarbów kultury traktował jako swój obowiązek i patriotyczne posłannictwo, któremu poświęcił się bez reszty. W związku z tą pasją, pisze wiele tekstów eseistycznych, niejednokrotnie korzystając w nich z ogromnego dorobku zapomnianego dziś dziejopisa emigracji polskiej, Mieczysława Haimana (1888–1949). Są to eseje o wielkich Polakach – Norwidzie, Chopinie, Conradzie. Oddzielny cykl esejów poświęcił Janowi Lechoniowi (1899–1956), dołączając do nich własny poemat, pt. „Pieśń o pewnym pogrzebie", nawiązujący do tonu i inkantacji *Karmazynowego poematu* Lechonia.

Był także Janta organizatorem komitetu „powrotu skarbów wawelskich do Polski", których „ewakuację" w 1939 roku (m.in. Wisłą z Krakowa do Kazimierza) oraz dalsze ich losy również opisał. Eseje te znaleźć można w wydanej w PRL książce *Nic własnego nikomu*, ze wstępem Janusza Odrowąża-Pieniążka (Warszawa 1977, trzy lata po śmierci autora), jak również w kilku innych książkach wydanych za jego życia, m.in. w „Księdze podróży, przygód i przypomnień" (Londyn 1957), czy „Losy i ludzie", wydanej staraniem „Wiadomości" i Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce, w 1961 roku. Wiele lat współpracował z „Kulturą" paryską Jerzego Giedroycia (1906–2000), jako korespondent z USA. Ich wspólną korespondencję wydano pośmiertnie w tomie *Jerzy Giedroyc, Aleksander Janta-Połczyński. Korespondencja 1947–1974*, w opracowaniu Pawła Kądzieli (Warszawa 2009).

Kilka lat przed śmiercią, oglądał Janta w Małej Komorzy, swoje gniazdo rodzinne – zdewastowany pałac. Jego marzeniem było utworzenie tam domu pracy twórczej Związku Literatów Polskich i przekazanie ośrodkowi swojej biblioteki. Jednak, nawet wstawiennictwo Jarosława Iwaszkiewicza u władz niewiele pomogło i tego planu nie udało się nigdy zrealizować. Obecnie, pałac został wykupiony przez bratanka pisarza, Leona, i jest powoli przywracany do dawnego stanu. Brat Aleksandra, Stanisław (1923–2005), skomponował muzykę do jego wierszy. Śpiewa je na wydanej płycie znany bard krakowski, Leszek Długosz.

Aleksander Janta zmarł 19 sierpnia 1974 r., w South Hampton, w USA. O jego śmierci, już nazajutrz, obszernie poinformował nowojorski „The New York Times". Rok później, urna z prochami została wmurowana w katakumbach warszawskich Powązek oraz opatrzona mottem z wiersza Norwida, które sam na swój grób wybrał:

Z rzeczy tego świata ostaną tylko dwie.
Dwie tylko: poezja i dobroć... i więcej nic...

Mirosława Kruszewska

Od redakcji

Reportaż „Wracam z Polski" miał ukazywać się w odcinkach w kolejnych numerach paryskiej „Kultury". Ale już po pierwszym posypały się, zarówno na autora jak i na Jerzego Giedroycia, gromy ze strony niezłomnych; Jan Lechoń i Zygmunt Nowakowski oskarżyli nawet Jantę o zdradę. „Kultura" była wówczas (jeszcze) zależna finansowo od Drugiego Korpusu. Pod naciskiem, przede wszystkim „polskiego Londynu", Giedroyc zaprzestał drukowania reportażu.

ARCHIWUM
EMIGRACJI
ZESZYT 2
TORUŃ 1999

PAN ALEKSANDER

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI (1908–1974)

„Trzeba więcej niż jednej pary oczu pour suporter le spectacle du monde."
(A. Janta *Duch Niespokojny*)

I

Pana Aleksandra poznałam dwadzieścia lat temu. Przyjechał do Detroit w jakiejś bardzo ważnej sprawie. Może azylu dla zbiegłego właśnie ze statku polskiego marynarza, któremu trzeba było opłacić adwokata i bronić przed deportacją. Może arrasów wawelskich, które niszczały w Kanadzie. Może w sprawie nagłej pomocy zamieszkałemu w Londynie pisarzowi, który tracił wzrok a nie miał z czego żyć. Może zabiegał o fundusze na wydanie książki bardzo ważnej dla Polonii amerykańskiej, a może na nagrobek dla Cypriana Norwida. Dzisiaj już nie jest istotne, którą z tych spraw właśnie załatwiał. Ważne natomiast, że załatwiał stale coś dla kogoś, z poczucia obowiązku ludzkiego i społecznego. Był mężem opatrznościowym, instytucją do której można się było zwracać w potrzebie i na której można było bezgranicznie polegać.

Napisałam, że poznałam Pana Aleksandra, ale właściwie to on poznał mnie. Wezwana wcześniejszym telefonem, „mam dla pani pozdrowienia od Kazimierza Wierzyńskiego, który surowo mi przykazał się z panią zobaczyć. A pani, wysłuchać tego, co mam jej do powiedzenia", weszłam do wypełnionej po brzegi sali Domu Związku Narodowego Polskiego. Byłam spóźniona. Odczyt zaczął się o szóstej, a ja o siódmej kończyłam pracę. Pan Aleksander przerwał tok wywodów, przeprosił słuchaczy i przecisnął się w stronę drzwi.

„Pani jest Róża Nowotarska — podał mi rękę — Tak sobie właśnie panią wyobrażałem. Cieszę się, że pani przyszła."

Następnie wrócił na podium i mówił dalej, kierując od czasu do czasu uważne spojrzenie w moją stronę. Po prelekcji otoczono go ze wszystkich stron i zarzucano pytaniami, na które cierpliwie, uprzejmie odpowiadał. A potem, już przy kawie i ciastkach, gdy nareszcie mogliśmy usiąść i swobodnie porozmawiać, powiedział:

„Wiem o pani bardzo dużo od Kazia. Tacy ludzie jak pani są bardzo potrzebni. Czy mi pani pomoże..."

W czym konkretnie miałam pomagać, dowiadywałam się później z listów, w które włączone były uprzejme polecenia. Czasem poza miłym nagłówkiem i serdecznościami przy podpisie nie było w nich nic, poza poleceniem.

13.7.57

„Droga Pani: Za radą Kazimierza Wierzyńskiego piszę do Pani z prośbą o dowiedzenie się co stało się z rzeczami Karoli Zagórskiej, która podobno umarła w Detroit przed dwoma laty. Czy ją pani znała? Czy zna pani kogoś, kto z nią był blisko? Znalazłem przed paru tygodniami w Uniwersytecie Yale fotografię jej z Conradem — przygotowuję obecnie studium o pamiątkach Conradowskich w Ameryce, zależało by mi bardzo na dowiedzeniu się co stało się z tymi jakie miała Karola i czy były między nimi listy Conrada. Będę Pani bardzo wdzięczny za pomoc, radę oraz wskazówki co zrobić aby trafić na ślad tych rzeczy, a także dowiedzieć się o okolicznościach życia i śmierci Karoli. Łączę pozdrowienia..."

7.7.58

„Pani Różyczko: Czy przyszło Pani kiedyś do głowy aby zrobić akcję «szukajmy na strychach»? Jestem przekonany że wyniki byłyby zaskakujące. Piszę o tym na marginesie odkrycia zrobionego w starym domu, w którym znalazła Pani białe kruki. Pod stertą starych gratów nikomu niepotrzebnych. Czy widzi Pani sposób aby takiemu marnotrawstwu zaradzić? Tyle bezcennych

I (1908–1974)

rzeba więcej niż jednej pary oczu pour
orter le spectacle du monde."
Janta *Duch Niespokojny*)

ł do Detroit w jakiejś bardzo waż-
go marynarza, któremu trzeba było
welskich, które niszczały w Kana-
nie pisarzowi, który tracił wzrok a
ksiązki bardzo ważnej dla Polonii
iaj już nie jest istotne, którą z tych
ś dla kogoś, z poczucia obowiązku
ją do której można się było zwra-

on poznał mnie. Wezwana wcze-
a Wierzyńskiego, który surowo mi
ı jej do powiedzenia", weszłam do
kiego. Byłam spóźniona. Odczyt
:ksander przerwał tok wywodów,

właśnie panią wyobrażałem. Cie-

su do czasu uważne spojrzenie w
ucano pytaniami, na które cierpli-
, gdy nareszcie mogliśmy usiąść i

są bardzo potrzebni. Czy mi pani

óźniej z listów, w które włączone
:rdecznościami przy podpisie nie

ani z prośbą o dowiedzenie się co
Detroit przed dwoma laty. Czy ją
orzed paru tygodniami w Uniwer-
studium o pamiątkach Conradow-
ało się z tymi jakie miała Karola i
/ za pomoc, radę oraz wskazówki
o okolicznościach życia i śmierci

zrobić akcję «szukajmy na stry-
ę o tym na marginesie odkrycia
Pod stertą starych gratów nikomu
stwu zaradzić? Tyle bezcennych

rzeczy zginęło w wojnie i tyle ich ginie tutaj, w pokoju... Proszę koniecznie przyjechać do Nowego Jorku, może wspólnymi siłami coś wymyślimy? Szczerze oddany..."

6.2.60

„Droga Pani: Czy nawiązała Pani Kontakt z Kalinówną, względnie *vice versa*? Jakie perspektywy jej występu? Właśnie załatwiłem dla niej Toronto gdzie wystąpi... Przesyłam Pani program wieczoru z którego właśnie wracam — gdyby można było coś podobnego urządzić w Detroit ale na gruncie wyłącznie amerykańskim? Serdeczne pozdrowienie..."

6.12.61

„Droga Pani: Doszła mnie wieść o śmierci... Podobno miał wspaniały zbiór polskiego malarstwa. Na miłość Boską, niech Pani coś zrobi aby ten zbiór nie przepadł lub nie dostał się w niepowołane ręce. Czy zostawił kogoś, kto się tym interesuje, zabezpieczy, doceni wartość? Rozpacz mnie ogarnia gdy myślę, że Kossaki, Fałaty czy Mehoffery wylądują na strychu albo gorzej, bo na śmietniku... Przesyłam serdeczności, oddany..."

5.11.63

„Droga Pani: Otrzymałem apel w sprawie Stefana Wicika. Widzę, że potężne siły pracują nad zapewnieniem mu powodzenia u publiczności w Nowym Jorku. O tyle lepiej tenorom, niż pisarzom. Zrobi się oczywiście co się da. Wróciłem właśnie z drugiego pobytu w Buffalo (wieczór autorski) i zbieram, a raczej podsumowuję rezultaty kampanii na *Flet i Apokalipsę*, przedłużoną zresztą do końca roku aby wszyscy zdążyli. Łączę serdeczne pozdrowienia i do zobaczenia, może tutaj?..."

Tak więc w listach i rozmowach telefonicznych, we wzajemnej pomocy i w nieczęstych — niestety — spotkaniach, rozwijała się nasza znajomość, która z czasem przerodziła się w przyjaźń.

*

Był też Pan Aleksander dobrym, serdecznym przyjacielem w potrzebie. Kiedy moje osobiste życie przechodziło wstrząsy przy równoczesnym dość trudnym okresie przystosowania się do pracy w urzędzie federalnym jakim był „Głos Ameryki", w którym szukałam sobie właściwego miejsca — nie udzielał mi zbawiennych rad ani nie dawał moralnych pouczeń. Nie zalecał przemyślenia jeszcze raz od początku sprawy, którą przemyślałam już wiele razy przedtem. Telefonował natomiast przynajmniej raz w tygodniu, pytając jak sobie radzę i czy mi czegoś nie potrzeba. Wyrażał też za każdym razem niezachwianą wiarę w moją siłę psychiczną i zdolność przystosowania się do nowych warunków — osobistych i zawodowych.

W tym też okresie przyjechał do Waszyngtonu do Michała Kwapiszewskiego w jakiejś pilnej, książkowej sprawie, nie omieszkując przy okazji zapoznać mnie z sędziwym dyplomatą. Odwożąc mnie taksówką ze spotkania do mego nowego domu powiedział: „Proszę pamiętać, że bywają tragedie w przebraniu. Taki jest pani przypadek. Niedługo, pozorną przegraną zamieni pani w wygraną. Jest w pani siła i upór przetrwania, nie mówiąc o talentach... proszę je teraz rozwinąć! A w chwilach samotności, niech się pani wybierze do Michała i namówi go na nagranie na kasety wspomnień — jest chodzącą kroniką dyplomacji polskiej. Miała by pani znakomity materiał do pisania. Proszę wypełnić sobie każdą wolną godzinę pozytywnym zajęciem — to najlepsze lekarstwo, eliminujące żale i smutki!"

Po jakimś czasie, gdy życie się uładziło i wróciło do normy, w jednej z rozmów telefonicznych usłyszałam: „Wygrała pani swoją niezależność — a to było przecież najważniejsze! Proszę tę niezależność dobrze wykorzystać! niech pani nareszcie zacznie pisać do «Wiadomości»! Tam jest pani miejsce. A Grydzewski bardzo się ucieszy... No i warto może pomyśleć o jakiejś książce..."

II

W pierwszych latach spotykaliśmy się na zjazdach Polsko-Amerykańskich Klubów Kulturalnych, Polskiego Związku Akademików, Towarzystwa Przyjaciół Sztuki Polskiej lub przy innych okazjach. Były to lata pięćdziesiąte i początek sześćdziesiątych. Na marginesie codziennych zajęć zarobkowych zaangażowani byliśmy w pracę społeczno-kulturalną. W pewnym okresie Pan Aleksander był prezesem buffalowskiego Klubu Artystycznego i w ramach działalności tego klubu urządzał odczyty lub wieczory autorskie ciekawszych prelegentów i pisarzy. Gościł u siebie Józefa

Czapskiego, Kazimierza Wierzyńskiego, Melchiora Wańkowicza, Arthura Pruddena Colemana, Zygmunta Haupta, żeby wymienić kilka nazwisk. Na innych wieczorach sam opowiadał to o rysunkach Feliksa Topolskiego, to o drzeworytach Stefana Mrożewskiego ilustrując swe wywody bogatymi zestawami oryginałów i reprodukcji. Starał się też stworzyć polski teatr amatorski, co mu się po jakimś czasie i na bardzo krótki czas udało.

Jak wspominałam spotykaliśmy się z Panem Aleksandrem na zjazdach, na których albo był mówcą, albo otrzymywał za pracę społeczno-kulturalną lub osiągnięcia literackie, już nie wiadomo którą nagrodę, dyplom uznania, odznaczenie.

Nie zdobywał ich łatwo. Jego postawa, jego poglądy odrębne od ustalonych, wzbudzały nieufność wielu ludzi ze starej, osiadłej tu od kilkudziesięciu lat Polonii, wiernej swym przeważnie starym tradycjom. Wyczuwali w nim inność, której nie umieli zdefiniować. Pan Aleksander był obcą im formacją psychiczną, miał inne zaplecze kulturowe. Był kimś nowym, wobec kogo należało być ostrożnym i czujnym. Był reformatorem wzbudzającym niepokój. A on wiedział dlaczego chciał reformować. Oto co pisał na ten temat w książce *Nowe odkrycie Ameryki* (Libella, Paryż 1973).

„Odkąd nastałem do Buffalo, miejscowi i zamiejscowi rzeczoznawcy od spraw Polonii w tym mieście twierdzili jednogłośnie, że co jak co — na gruncie kulturalnym nie ma żadnych szans i szkoda czasu gdyby kto próbował coś zrobić. A już tym bardziej, jeśli usiłował by zmienić cokolwiek w zastałych i zasiedziałych obyczajach organizacyjnych. Utwierdzały ludzi w tym zastaniu się i zasiedzeniu parafie, z natury rzeczy konserwatywne i poprzez szkółki parafialne odrabiające obowiązki wobec polskości, ucząc dzieci parafian języka na tyle aby mogły się modlić i słuchać kazania. Reszta polskości to były już tylko polki tańczone z zapałem i pokrzykiwaniem, działalność chórów, zrzeszeń i towarzystw zwołujących co jakiś czas posiedzenia nudne i długie, urządzających pozatem opłatki i święconki, akademie, bankiety z podszewką patriotyczno-religijną, o programach trwających po kilka godzin, mowach licznych i długich, występach artystycznych dziatwy szkolnej, popisach dorastających albo dorosłych osób, z których każda lubi produkować się pieśnią, odegraniem muzycznego kawałku lub deklamacją. Robi się z tego dość uciążliwy przekładaniec, mało który z występów posiada artystyczną wartość, publiczność jest na ogół cierpliwa i niewybredna, oklaskuje każdego po równi, a wychodzi po paru godzinach z poczuciem odrobienia ciężkiej służby na rzecz dalekiej Polski, znudzona, i zmęczona do ostateczności, ale zawsze gotowa się poświęcić od nowa — następnym razem.

Uogólniam i przejaskrawiam może, ale podsumowuję tym opisem wrażenie z dziesiątek imprez na których przypadło mi być, a czasem zabierać głos jako jednemu z pięciu, siedmiu, a było nawet, że dziesięciu mówców." (str. 170–171)

Nowa, powojenna emigracja bardzo często uważała niektóre przekonania Pana Aleksandra za zdradę. Zalecał na przykład gorąco wyjazdy do Polski, nie dlatego, że można tam było dostać na czarnym rynku sto złotych za dolara, zaimponować wystawną kolacją w Bristolu i doskonale się za te czarnorynkowe złote zabawić, ale dlatego, że — jego zdaniem — nie należało tracić kontaktu z krajem pochodzenia. Był też pierwszym propagatorem wymiany między Polonią a Polską. Zakładał, że dla obu stron coś pozytywnego z tej wymiany wyniknie. Uważał też, że przede wszystkim ludzie piszący z tej i z tamtej strony powinni, jedni odwiedzać Polskę, a drudzy Amerykę, aby mieć szersze spojrzenie — jedni na kraj, drudzy na świat. Tego przekonania, któremu dawał wyraz już od 1949-go roku, nie zmienił do końca.

Przeglądam notatki zrobione po spotkaniu z Panem Aleksandrem na zjeździe w Detroit, w roku 1959-tym. Oto kilka zdań z tej rozmowy:

„Jakże korzystna byłaby konfrontacja pisarzy żyjących poza Polską, z nową rzeczywistością, różną od tej z przed 1939-go roku. A polskich, przykręcanych śrubą soc-realizmu z światem, który oddycha wolno. Ale odnoszę wrażenie, że się czegoś bardzo boimy, że coś nas w tej koncepcji przeraża. Czy wynika to z braku przekonania i wiary w naszą słuszność? Z niepewności? Nie wiem, muszę nad tym pomyśleć."

Wyraz tych przemyśleń znajdujemy w odpowiedzi na ankietę londyńskich „Wiadomości", w sprawie podziału literatury polskiej na „krajową" i „emigracyjną". Przytoczył ją w przedmowie do *Fletu i Apokalipsy* (1964).

„Gdy idzie o klasyfikację pisarzy, (podział) nie pokrywa się z geograficznym rozróżnieniem kraju od emigracji. Ideowo jest sprawą nie tylko prywatnych podniecеń, branych często za przeko-

icza, Arthura Pruddena Colemana,
wieczorach sam opowiadał to o ry-
ożewskiego ilustrując swe wywody
orzyć polski teatr amatorski, co mu

n na zjazdach, na których albo był
ągnięcia literackie, już nie wiadomo

ne od ustalonych, wzbudzały nieuf-
Polonii, wiernej swym przeważnie
i zdefiniować. Pan Aleksander był
był kimś nowym, wobec kogo nale-
n niepokój. A on wiedział dlaczego
e odkrycie Ameryki (Libella, Paryż

czoznawcy od spraw Polonii w tym
ulturalnym nie ma żadnych szans i
iej, jeśli usiłował by zmienić cokol-
Utwierdzały ludzi w tym zastaniu
rzez szkółki parafialne odrabiające
yle aby mogły się modlić i słuchać
ałem i pokrzykiwaniem, działalność
iedzenia nudne i długie, urządzają-
ewką patriotyczno-religijną, o pro-
h, występach artystycznych dziatwy
i każda lubi produkować się pieśnią,
tego dość uciążliwy przekładaniec,
ość jest na ogół cierpliwa i niewy-
inach z poczuciem odrobienia cięż-
stateczności, ale zawsze gotowa się

a opisem wrażenie z dziesiątek im-
o jednemu z pięciu, siedmiu, a było

re przekonania Pana Aleksandra za
tego, że można tam było dostać na
olacją w Bristolu i doskonale się za
m — nie należało tracić kontaktu z
y między Polonią a Polską. Zakła-
e. Uważał też, że przede wszystkim
olskę, a drudzy Amerykę, aby mieć
ekonania, któremu dawał wyraz już

sandrem na zjeździe w Detroit, w

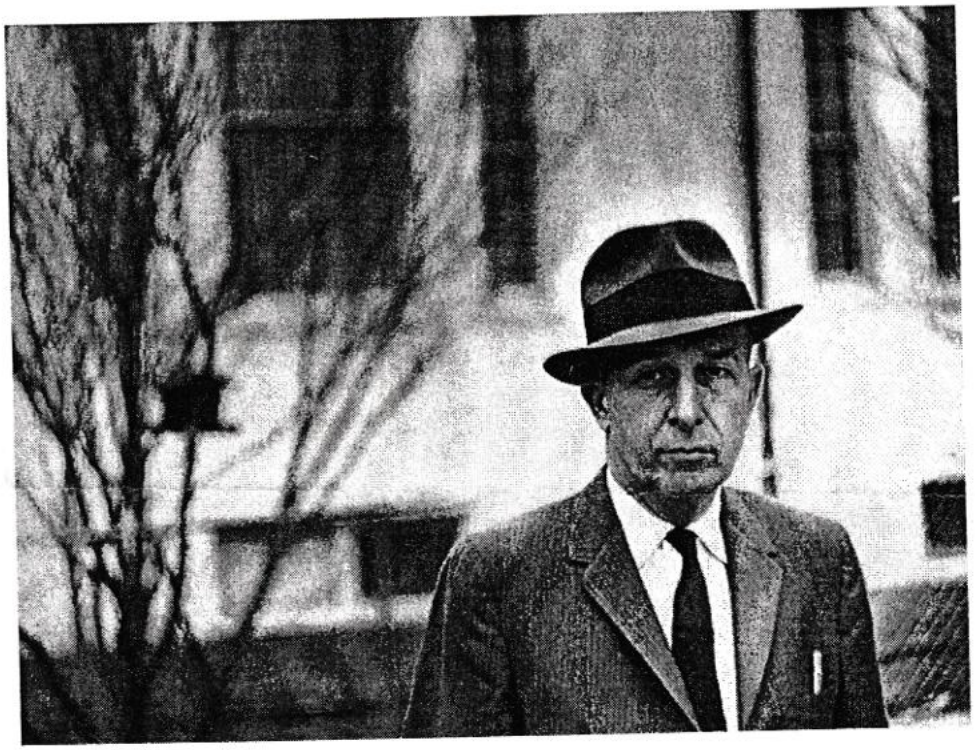
za Polską, z nową rzeczywistością,
śrubą soc-realizmu z światem, który
boimy, że coś nas w tej koncepcji
zą słuszność? Z niepewności? Nie

cietę londyńskich „Wiadomości", w
ią". Przytoczył ją w przedmowie do

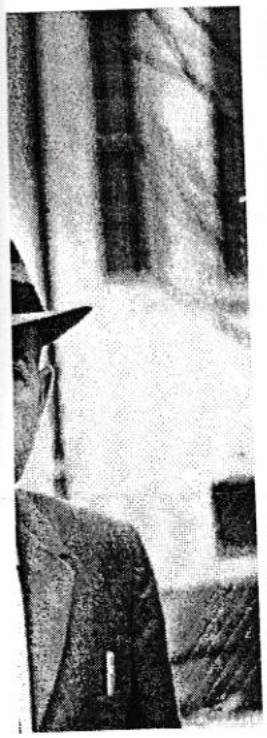
się z geograficznym rozróżnieniem
odnieceń, branych często za przeko-



Aleksander Janta ze Smykiem



Aleksander Janta



nania, nie tylko stosunku do tej lub innej rzeczywistości politycznej, ale stosunku samego pisarza do pracy, zadań i obowiązków, jakie sobie postawił.

Jest dla mnie nie od dzisiaj bardzo istotną sprawą poczucie pewności, że pisarz, jeśli nawet dostaje się nieraz z natury swej publicznej działalności na pierwszą linię rozgrywek politycznych lub ideologicznych swojego czasu, musi sobie stanowczo rezerwować prawo stanięcia ponad nimi. Czas to zresztą załatwia zwykle za tych, którym wydawało się, że nie mogli się na to zdobyć. W świetle perspektywy dziejowej wydaje się mimo wszystko nieaktualne a nawet do pewnego stopnia groteskowe pytanie, czy Mickiewicza albo Norwida zaliczać do literatury krajowej, czy emigracyjnej?

Jeśli jednak przyjąć istnienie podziału literackiego na «kraj» i «emigrację», ich wzajemny stosunek jest z natury rzeczy i warunków uzupełniający."

Ciekawe światło na jego rozumienie tego związku, tej zależności, a jednocześnie na samookreślenie się jako pisarza rzuca następujące zdarzenie, o którym pisze w *Nowym odkryciu Ameryki*. Otóż podczas jednego z pobytów w Polsce, zaproszono go do wystąpienia w programie telewizyjnym jako „przedstawiciela Polonii". Pan Aleksander, jak sam zaznacza nigdy się do takiego przedstawicielstwa nie poczuwał. Odmówił więc wystąpienia w nie swojej roli. Zapraszająca go na ten występ pani z telewizji bardzo się zdziwiła:

„A w takim razie kim pan jest?" — zapytała.

„Pisarzem polskim, mieszkającym poza Polską." — odpowiedział Pan Aleksander, dodając, że istnieją w historii precedensy takiej sytuacji.

Pani z telewizji zgodziła się z nim całkowicie, że owszem, istnieją. Ale zaproszenia nie podtrzymała.

Jak podkreślam, stara Polonia nie rozumiała na ogół Pana Aleksandra, a dla powojennej był zbyt awangardowy, zbyt śmiały w poglądach na „niepopularne" tematy. Nagrody, dyplomy i odznaczenia otrzymał dopiero wtedy, gdy do głosu doszli młodzi, wykształceni Amerykanie polskiego pochodzenia i młodzi powojenni emigranci, którzy nie przyjmowali ani za obrazę, ani za zdradę ideałów takich słów, jak te, które zanotowałam na zjeździe w Detroit:

„Nie jest specjalnie ważne aby Amerykanin polskiego pochodzenia umiał mówić po polsku. Dużo ważniejsze jest aby — obojętnie w jakim języku miał coś do powiedzenia albo w interesie Polski, albo na jej temat. Nie kładźmy tak wielkiego nacisku na naukę języka polskiego, a raczej na wiedzę o Polsce. Zyskamy na tym i my i Polska."

Tę myśl powtórzył potem i rozwinął w książce *Nowe odkrycie Ameryki*.

Spotykałam się nieraz z zarzutem, że publicystyka Pana Aleksandra w przeciwieństwie do jego poezji i prozy literackiej, jest jakby chaotyczna, niedopracowana. Wynika to chyba stąd, że w książki swe włączał czasem teksty wypowiedzi czy wystąpień dyskusyjnych, których niejednokrotnie nie miał czasu zredagować powtórnie, tak by odpowiadały wymaganiom słowa pisanego. Warto o tym pamiętać, bo wiadomo, że przemówienia czy odczyty wymagają częstokroć zupełnie innego podejścia niż książka czy artykuł. To co brzmi doskonale powiedziane na żywo, traci czasem po publikacji i odwrotnie.

A był Pan Aleksander mówcą świetnym, mądrym, porywającym. Chociaż nie używał wielkich słów, patriotycznych haseł i nie wołał, że nie oddamy, nie pozwolimy, nie odstąpimy. To znaczy właśnie to mówił, ale inaczej, apelując do intelektu, do rozumu, a nie jedynie do emocji. Mówił o zadaniach kulturalnych Polonii, o obowiązkach wypływających z dostępu do bogactwa dwóch kultur. Zalecał czytanie książek o Polsce, zapoznawanie się z jej najnowszą historią. Nawoływał do urządzania wystaw sztuki polskiej, do zakładania prywatnych zbiorów, kolekcjonowania poloników. Woził zresztą ze sobą stare mapy, rękopisy, foliały, które chętnie pokazywał, objaśniał, tłumaczył. Apelował o urządzanie odczytów, wieczorów literackich, zabiegał o jakieś obiady czwartkowe, które stałyby się okazją do wymiany myśli i poglądów. Lansował też, bezskutecznie, pomysł utworzenia międzynarodowego Klubu Książki Polskiej.

III

Na zjeździe Związku Akademików w Buffalo w roku 1963-cim w świetnym przemówieniu, którego fragmenty zanotowałam, mówił z pasją, niemal z gniewem:

THE POLISH LIBRARY,
LONDON.

„Obowiązkiem każdego kulturalnego człowieka jest czytać książki. Nie byle jakie książki, a dobre, bardzo dobre. Obowiązkiem Polaka jest znać literaturę polską i wiedzieć o swym kraju tak dużo, jak to tylko możliwe. Ale na tym się nasze obowiązki nie kończą. Zadajmy sobie pytanie: o ile wzbogaciliśmy naszą wiedzę? Mając wolny dostęp do literatury światowej, czyśmy z tej możliwości skorzystali? Gdybym wam teraz zadał pytanie! Ileście przeczytali, cóż byście odpowiedzieli? Zalecam wam gorąco, skoroście mnie tu na mówcę poprosili, macie czytać, czytać, czytać..."

I już przy akompaniamencie oklasków powstałej z miejsc młodej publiczności dokończył cytatem ze Słonimskiego:

„Świat nie jest piłką footbalową, świat się podbija głową..."

Pan Aleksander był zwolennikiem i propagatorem pozytywnego myślenia i pozytywnego działania. Niezwykle rzutki, czynny, zapobiegliwy, nie rozumiał ludzi, którzy nic nie robili, zajmując się jedynie krytykowaniem cudzych poczynań. A nie znosił tych, którzy w każdej inicjatywie społecznej dopatrywali się prywaty. Miał też bardzo surowy sąd o luminarzach z wielkimi hasłami na ustach.

W jednym z listów skarżyłam się na słaby oddźwięk na apel o przedpłatę na książkę Ferdynanda Goetla *Anakonda*. Pamiętam, że użyłam tam sformułowania: luminarze żywią się własnym światłem wewnętrznym i nie mają 5 dolarów na nową polską książkę.

A oto co odpisał mi Pan Aleksander:

23.3.60

„Cóż to za luminarze życia polskiego, krzyczący o Polsce, o walkę o Polskę, o wierność Polsce, których nazwisk nie widziałem jeszcze ani na jednej liście subskrybentów, na żadnej liście ofiarodawców na utrzymanie «Wiadomości» czy «Kultury»... Podejrzewam, że nie prenumerują żadnego polskiego pisma. Uważają, że z racji „stanowiska luminarza" wszystko im się należy za darmo. Przyczyniać się mają inni, nie oni. Im tylko chwała i sława. Za nic."

W roku 1964-tym Pan Aleksander zadał sobie niemały trud obliczenia ile osób przeciętnie zamawia książkę w przedpłacie. Wiem, że konsultował się z innymi pisarzami. Okazało się, że doświadczenia w tej dziedzinie były bardzo podobne. Ilość nazwisk wahała się od czterystu do sześciuset. Wyniki tej prywatnej ankiety omówił w książce *Przyjemnie zapoznać* (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1972):

„Społeczeństwo polskie poza krajem, chętnie przez swoich rzeczników i przedstawicieli różnego autoramentu szczycące się wysoką pozycją kultury polskiej i jej osiągnięć, traktuje współczesnych, żyjących wśród niego pisarzy w najlepszym wypadku jak odświętny luksus, a czyta ich od biedy na szpaltach dwóch czasopism, które dla okrętu emigracji są jak żagle, dające jakiś podniecający myśli łopot i dyskusyjny albo koncepcyjny napęd w szarzyźnie codziennego zarobkowania.

Jeżeli mimo to mówić można o wcale znacznym, kto wie czy nie czołowym w perspektywie historycznej dokonaniu emigracji polskiej po drugiej wojnie, o jej dorobkach naukowych i literackich, to jest to skutek heroicznego niemal uporu i ambicji niewielkiej stosunkowo garstki ludzi, wspomaganej i podtrzymywanej przez nieznaczny tylko odłam społeczności. Ten nieznaczny odłam odnotowany jest na kartach niektórych książek polskich, wydanych na zachodzie pod postacią «spisu przedpłacicieli».

Przekonany jestem, że owe «spisy» studiowane będą z czasem jako dokumenty przynoszące zaszczyt udziałowcom w tych trudnych przedsięwzięciach, ale wystawiające smutne świadectwo ogółowi polskiemu na Zachodzie. Wynika z nich bowiem niewspółmierna z głoszoną postawą obojętność wobec zjawiska, które na daleką metę może się okazać wkładem najtrwalszym." (str. 308)

Te dość bolesne ujawnienia prawd, o których wolano by nie pamiętać, nie zjednywały mu przyjaciół. W niektórych kręgach uważano go za aroganta, za człowieka chełpliwego i zarozumiałego. Ale bliscy przyjaciele i ludzie, którzy dobrze go znali, uważali go za wielkiego pana. Za arystokratę ducha. Był troskliwy, życzliwy, a przy tym pozbawiony sentymentalnej wylewności. Był też doskonałym obserwatorem. Miał wizjonerski niemal dar oceniania prawdziwego charakteru ludzi na pierwszy rzut oka. Później, nieraz po wielu latach, wielokrotnie miałam okazję przekonać się, że czasami rzucona zdawkowo uwaga, którą zbagatelizowałam, albo uważałam za przesadnie złośliwą, okazywała się niesłychanie trafna. Wyrozumiały dla drobnych słabości i śmiesznostek, nie miał usprawiedliwienia dla rozgrywek za plecami, dla odgrywania się w podstępny sposób.

książki. Nie byle jakie książki, a
lską i wiedzieć o swym kraju tak
kończą. Zadajmy sobie pytanie: o
ry światowej, czyśmy z tej możli-
czytali, cóż byście odpowiedzieli?
ie czytać, czytać, czytać..."
młodej publiczności dokończył

ywnego myślenia i pozytywnego
ł ludzi, którzy nic nie robili, zaj-
sił tych, którzy w każdej inicjaty-
wy sąd o luminarzach z wielkimi

el o przedpłatę na książkę Ferdy-
nia: luminarze żywią się własnym
ążkę.

o walkę o Polskę, o wierność Pol-
e subskrybentów, na żadnej liście
Podejrzewam, że nie prenumerują
inarza" wszystko im się należy za
va. Za nic."
ud obliczenia ile osób przeciętnie
innymi pisarzami. Okazało się, że
azwisk wahała się od czterystu do
ejemnie zapoznać (Polska Fundacja

h rzeczników i przedstawicieli róż-
ej i jej osiągnięć, traktuje współcze-
ak odświętny luksus, a czyta ich od
ji są jak żagle, dające jakiś podnie-
zyźnie codziennego zarobkowania.
czy nie czołowym w perspektywie
jej dorobkach naukowych i literac-
ewielkiej stosunkowo garstki ludzi,
łam społeczności. Ten nieznaczny
wydanych na zachodzie pod posta-

zasem jako dokumenty przynoszące
e wystawiające smutne świadectwo
iewspółmierna z głoszoną postawą
ę okazać wkładem najtrwalszym."

y nie pamiętać, nie zjednywały mu
człowieka chełpliwego i zarozumia-
uważali go za wielkiego pana. Za
awiony sentymentalnej wylewności.
ır oceniania prawdziwego charakteru
elokrotnie miałam okazję przekonać
wałam, albo uważałam za przesadnie
a drobnych słabości i śmiesznostek,
dgrywania się w podstępny sposób.

W związku z pewną „akcją podziemną" prowadzoną przeciwko mojemu *Tryptykowi wojennemu* powiedział mi:

„Jeśli chcę kogoś uderzyć, zakładam bokserskie rękawice i wychodzę na ring a nie przypinam sobie skrzydeł i nie udaję anioła. Osoba, która działa przeciwko Pani, na pewno się do Pani — jak ja ją znam — uśmiecha..."

Poglądy Pana Aleksandra różniły się przeważnie od ogólnie przyjętych. Brano mu to często za złe, tym bardziej, że nie zmieniał ich, aby się komuś przypodobać. Albo by wskutek ich zmiany coś dla siebie uzyskać. Wolał mieć raczej wszystkich przeciwko sobie, tracić posady, pozostawać bez środków do życia aniżeli zrezygnować z przyjętej postawy, jeśli tę właśnie uważał za słuszną.

IV

Tak więc jego amerykańskie lata, szczególnie pierwsze po wojnie, nie należały do najłatwiejszych. Zaczynał tutaj, jak wielu innych, od zajęć dalekich od pisarstwa i dziennikarstwa. Zbierał ogłoszenia handlowe w Pittsburgu. Handlował pierogami w Buffalo. Chwytał się różnych dorywczych prac, aby tylko utrzymać się na powierzchni, od nikogo nie być zależnym. Potem nareszcie dostał posadę w dziale miejskim buffalowskiego „Dziennika dla Wszystkich". Posadę tę potraktował jako zaczepienie i nowe pole do działania, gdyż poziom literacki dziennika był delikatnie mówiąc, mierny. Mając za sobą przeszło dwudziestoletnie doświadczenie dziennikarskie myślał, że powoli zdoła wprowadzić zmiany, które by się odbiły korzystnie na poziomie pisma o, jakby nie było, szerokim zasięgu. Ale bardzo prędko przekonał się, że w „Dzienniku dla Wszystkich" na podciągnięciu pisma wzwyż nikomu nie zależało. A już najmniej naczelnemu redaktorowi, który obawiał się, że jedyny w zespole fachowiec mógłby zagrozić jego pozycji. Z drobnych powodów wywoływał nieporozumienia, dochodziło do małostkowych konfliktów. Panu Aleksandrowi chodziło o dobro pisma, które reklamowało się jako ostoja kultury polskiej, serce Polonii i największe pismo polskie w Stanach Zjednoczonych walczące ofiarnie o utrzymanie polskości — naczelnemu redaktorowi chodziło o własny prestiż i o posadę, której nawiasem mówiąc, Pan Aleksander wcale nie zagrażał.

Odmienność postaw redaktora naczelnego i Pana Aleksandra, a jednocześnie różnica ich formatu moralno-politycznego uwidoczniła się najwyraźniej w sytuacji, w której w grę wchodziła wolność, a być może nawet i życie innego człowieka — Polaka, nowoprzybyłego uchodźcy, który znalazł się w sytuacji tragicznej, co wymagało natychmiastowej interwencji władz miejskich, czy też imigracyjnych. Ale aby tę interwencję uzyskać, trzeba było sprawie nadać jak najszybciej, jak największy rozgłos. Pan Aleksander napisał obszerny artykuł, będąc pewnym, że ze względu na konieczny pośpiech artykuł ten pójdzie w następnym numerze. Na pół godziny przed zamknięciem numeru zauważył, że nie przysłano mu korekty. Na pytanie co z korektą, usłyszał odpowiedź, że to nie takie ważne... że artykułu w ogóle nie złożono. Domagał się odpowiedzi na pytanie kto zadecydował o tej sprawie — otrzymał wykrętne, ogólnikowe odpowiedzi. Wiedział, że nikt się nie przyzna i nikogo nie wskaże. I wtedy Pan Aleksander powiedział co myśli o kierownictwie pisma i obyczajach w nich panujących. Po tym zajściu posada w dziale miejskim skończyła się natychmiast.

To tak bywa bardzo często w starciu oportunisty dysponującego pewnym zakresem władzy, z człowiekiem, który może przeciwstawić mu tylko wartości nie liczące się z punktu widzenia biurokraty — to jest rozumu i serca.

Doświadczenie z „Dziennika dla Wszystkich" uświadomiło Panu Aleksandrowi, że tylko całkowite uniezależnienie się pozwoli mu na pionierską pracę społeczną i kulturalną. Dziś słowa te brzmią może nieaktualnie, ale od lat pięćdziesiątych bardzo dużo się zmieniło, właśnie po linii reformatorskich, niepopularnych kiedyś zaleceń Pana Aleksandra. Ilu ludzi dziś o tym pamięta?

Wystarczy popatrzeć na dzisiejszą akcję wymiany studentów i naukowców prowadzoną przez Fundację Kościuszkowską, na nagrody Fundacji Jurzykowskiego przyznawane pisarzom i naukowcom emigracyjnym, ale także pisarzom i naukowcom z Polski, przysłuchać się ciągłym apelom o podniesienie poziomu prasy polskiej w Ameryce, aby przyznać ile słuszności było w nawoływaniach i napomnieniach, za które wówczas go potępiano.

O swych różnych niepowodzeniach i nienajlepszych doświadczeniach Pan Aleksander mówił i pisał otwarcie. Ta szczerość powodowała, że łatwo i bez skrępowania można było z nim rozmawiać

o własnych pomyłkach. Zwierzać się z naiwnych czasem planów. Nieżyciowych, a nawet jak się czasem zdawało, śmiesznych zamierzeń. Najdziwniejszy, najbardziej nieprawdopodobny pomysł rozpatrywał poważnie, doszukiwał się punktu, z którego można by startować i coś pozytywnego osiągnąć. Szukał dróg realizacji każdego marzenia.

Gdy przyjeżdżał do Waszyngtonu, zawsze dawał mi znać, że jest w mieście. Tematem naszych rozmów były przede wszystkim sprawy wydawnicze, książkowe. Bo one stanowiły główny punkt jego zainteresowań i jego główną troskę. Potrafił drobiazgowo, w najmniejszych szczegółach, omawiać koszt papieru, druku, składu. Obliczać koszt znaczków pocztowych, kopert, zawiadomień i to nie swojej książki. Udzielał cennych rad jak trafić do czytelnika. Wskazywał do kogo warto apelować, a kogo należy pomijać. Wymieniliśmy spisy potencjalnych nabywców, subskrybentów. Słuchał uważnie moich doświadczeń w tej dziedzinie, nie lekceważył żadnej najbłahszej nawet rady. Był dobrym towarzyszem w sprawach pisarskich, bez zazdrości i zawiści. Pamiętam jak się ucieszył gdy mu kiedyś powiedziałam, że mam listę co najmniej pięciuset nazwisk. „Dobrych" nazwisk.

„Niech pani tę listę prześle Tomaszewskim... może im się przyda. Właśnie ogłaszają przedpłatę..."

Pan Aleksander polecał, protegował, torował drogę. A gdy wyczuwał, że nie może pomóc, albo że jego osoba byłaby przeszkodą w jakimś przedsięwzięciu literackim zalecał: „niech się pani zwróci z tym do Tymona Terleckiego. To opoka, na której można się oprzeć. I jest bezinteresownie życzliwy..."

Ukazanie się nowej, dobrej polskiej książki witał zawsze z zadowoleniem i radością, że w trudnych warunkach emigracyjnych udało się pisarzowi znaleźć subskrybenta, wydawcę, nabywcę, czytelnika.

Pan Aleksander był wielkim wyznawcą Norwida i propagatorem jego poezji. Kiedyś, w odpowiedzi na mój list, w którym dzieliłam się z nim projektami wieczorów autorskich kilku poetów emigracyjnych odpisał:

„Bardzo wartościowe te pani zamierzenia. Ale niech pani kiedyś pomyśli o Norwidzie. Przyjeżdża tu Dora Kalinówna. Cudownie mówi Norwida (...) W dzisiejszych czasach potrzeba nam poezji intelektualnej. Z niej mamy czerpać mądrość. Nie jest to poeta łatwy, o czym pani wie, ale też nie o łatwość pani chodzi..."

Jak Norwid w poezji, tak Józef Conrad Korzeniowski w prozie wydawał mu się najgodniejszy poznania i zalecał gorąco aby tych dwóch pisarzy prezentować Polonii. Gdy kiedyś zgłosiłam gotowość urządzenia wieczoru autorskiego jemu, Aleksandrowi Jancie, odpowiedział kartką:

„Pierwszeństwo Norwidowi i Conradowi, a po nich dopiero ma prawo zjawić się Janta..."

W ostatnich latach tematem listów Pana Aleksandra była bardziej moja, jak jego praca literacka. Entuzjazmował się pomysłem przekładów liryki Roda McKuena. Gdy napisałam jakim sposobem mam zamiar wydać zbiorki wierszy i dotrzeć z nimi do czytelnika, nie tylko chwalił pomysł ale gorąco mnie do realizacji tego pomysłu zachęcał. Patronował niemal temu ryzykownemu przedsięwzięciu, podrzucając mi coraz to czyjeś nazwisko i adres.

„Nawet najbliżsi myślą, że zwariowałam. Są tacy, którzy nie tylko nie wierzą w powodzenie mojej akcji, ale uważają takie wpraszanie się na siłę za poniżające..."

„Poniża człowieka tylko niegodne postępowanie. A pisarza czy tłumacza, zła robota. Niech pani idzie wybraną drogą na nikogo się nie ogląda i nikogo nie słucha."

Gdy w parę lat potem prof. Tymon Terlecki nazwał mnie „domokrążcą poezji", o czym wszystko wiedzący Pan Aleksander zaraz się dowiedział, przesłał mi pocztówkę ze słowami:

„Brawo! Tymon obdarzył panią najpiękniejszym komplementem. I jakże trafnym. Że też mnie to nie przyszło do głowy..."

Nie mogę myśleć bez wzruszenia, że każde moje opowiadanie w „Wiadomościach" kwitował listem lub telefonem. Nie zawsze były to słowa pochwały. Krytykował niedociągnięcia, pośpiech, płytkość ujęcia. Ale obok krytyki była też i zachęta do dalszej pracy. A czasami nagana, że się lenię. Pewnego dnia otrzymałam kartkę z krótkim pytaniem:

„Kiedy książka *Kraków na złość* obiecana z okazji «Kurtyny»?"

Gdy telefonicznie tłumaczyłam się, że cierpię na chroniczny brak czasu, wcale nie kurtuazyjnie, z wyraźnym zniecierpliwieniem powiedział:

„Niech się pani nie wykręca sianem, tylko wstaje o godzinę wcześniej rano. Wtedy umysł jest świeży. Jak pani książkę obiecała, to proszę mi teraz słowa dotrzymać..."

Bo Pan Aleksander zawsze słowa dotrzymywał. Ciężko chory, już ledwie władający piórem, dowiadywał się czy aby zamówiona w przedpłacie książka *Nowe odkrycie Ameryki* dotarła do mnie, bo mu się wydawało, że coś pomylił, czegoś nie dopatrzył.

Po ukazaniu się mojego *Tryptyku wojennego* obiecał, że się podzieli wrażeniami z lektury. Pewnego dnia zadzwonił telefon i usłyszałam znajome słowa: „Tu mówi Aleksander". Głos był zmieniony, suchy, nie miał już znanego mi, ciepłego tonu. „Chcę pani coś powiedzieć, bo obiecałem obszerne omówienie, ale wiem, że już nic nie napiszę... Właśnie skończyłem czytać *Tryptyk*".

Rozmawialiśmy długo. O zadaniach pisarza i jego obowiązkach wobec czytelnika i siebie. „Niech się pani nie prześlizguje po temacie — pogłębi to, co dotyczy konspiracji, okupacji. Niech pani tej książce poświęci jeszcze raz dużo pracy, rozbuduje ją. Uczyni z niej dokument swoich czasów. Bo taka, jak jest teraz, pozostawia niedosyt. Niech pani ten błąd naprawi, a potem doprowadzi do drugiego, poszerzonego, uzupełnionego wydania... Ja już do pani pewnie nigdy nic nie napiszę ani się na Long Island nie spotkamy. Sytuacja jest podbramkowa. Ja po prostu umieram, pani Różo... Więc proszę pamiętać, książkę rozpracować. To jest moje ostatnie dla pani zalecenie. Mocno panią ściskam i dużo czułości przesyłam... i niech pani na miłość Boską nie płacze!"

Otwieram na chybił trafił *Ducha niespokojnego*:

„A ja nie wiem, jak sobie poradzić z przypływem nagłego wzruszenia, niby człowiek, który po raz pierwszy zrozumiał wszystko. Życie i śmierć."

Zmarł wielki pan. Pan Aleksander.

(Poprawiona wersja tekstu drukowanego w: „Gwiazda Polarna", Stevens Point, USA, X–XI 1977.)

*

PISANY POMNIK DLA ALEKSANDRA JANTY
(Wywiad telefoniczny z prof. Tymonem Terleckim)

Z Aleksandrem Jantą łączyła mnie bliska przyjaźń. W kilkunastu latach, od chwili poznania interesował się szczerze wszystkimi moimi poczynaniami zarówno literackimi, dziennikarskimi jak i kulturalno-społecznymi. Toteż gdy zwrócono się do mnie o napisanie wspomnienia o Panu Aleksandrze do zbiorowej książki, propozycję przyjęłam skwapliwie. Wiązanka serdecznych słów, zamiast wiązanki kwiatów. Cegiełki zdań, zamiast cegiełek na budowę pomnika.

Z osobistych spotkań i z listów dowiadywałam się o postępach prac nad książką, o trudnościach spowodowanych strajkiem poczty w Kanadzie, o opóźnieniach (także: *mea culpa*!) w nadsyłaniu prac przez współautorów i o benedyktyńskiej pracy redaktorskiej nad zebranym materiałem.

Umówiliśmy się z prof. Terleckim późną jesienią 1975 roku, że zatelefonuję na wiosnę. Co właśnie zrobiłam. Oto wynik tego telefonu:

Róża Nowotarska: *Chciałam porozmawiać z panem profesorem o książce zbiorowej, poświęconej Aleksandrowi Jancie.*

Tymon Terlecki: Dobrze pani trafiła, bo właśnie zamknąłem mozolną pracę adiustowania materiału i w formie gotowej do druku przesłałem na ręce Wali Jantowej w Nowym Jorku. Mogę w tej chwili odpowiedzieć na wszystko co panią interesuje.

Od kogo wyszedł projekt książki?

Po śmierci Janty wielu jego kolegów i przyjaciół miało poczucie, że jego bogate, bardzo czynne i wielostronne życie wymaga pełniejszego podsumowania, niż to jakie było możliwe w istniejących

warunkach czasopiśmienniczych. Alternatywa wydawnictwa zbiorowego narzuciła się sama. Podjąłem się redakcji, zapraszając do pomocy Adama Tomaszewskiego z Toronto, co w praktyce oznaczało współdziałanie obojga państwa Tomaszewskich. Stanowią oni dwu-osobowy *team* pisarski i wiązała ich z Jantą nie tak dawna jak mnie, ale chyba również zażyła przyjaźń.

Kiedy rozpoczęły się prace na książką?
Późną wiosną minionego roku. Natężyły się one po wakacjach. Ostatnie półrocze poświęciłem wyłącznie temu przedsięwzięciu, odłożywszy na bok wszystkie inne roboty pisarskie i naukowe. Rzecz okazała się trudniejsza z rozmaitych względów, bardziej czasochłonna, niż to pierwotnie przypuszczałem, ale przygotowania redakcyjne są wreszcie zakończone.

Ile prac udało się zgromadzić?
Mickiewiczowską liczbę 44 („a imię jego czterdzieści i cztery"). Oczywiście jest to przypadek, nie świadoma intencja.

Z ilu krajów pochodzą prace składające się na książkę?
Zaraz... Liczmy: Polska, Stany Zjednoczone, Anglia, Austria, Włochy, Francja, Kanada.

Siedem! Już to samo obrazuje zakres związków osobistych i korespondencyjnych Janty. Wspomniał pan profesor o krajowych współpracownikach książki mu poświęconej...
Nie jest tajemnicą, że Janta utrzymywał bliskie stosunki z pisarzami żyjącymi w kraju, interesował się ich działalnością, pomagał im na wszystkie dostępne sposoby, gościł w swoim domu na Elmhurst. Kilkoro z nich samorzutnie zgłosiło chęć udziału w wydawnictwie, o którym rozmawiamy. Są to: znakomita uczona, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, laureatka nagrody im. Jurzykowskiego, *doctor honoris causa* The University of Chicago Maria Dłuska, dr Stefan Papee nauczyciel Janty jeszcze w poznańskim gimnazjum, poeci i dramatopisarze, prozaicy i krytycy: Tymoteusz Karpowicz, Artur Miedzyrzecki, Leszek Elektorowicz, Zbigniew Siatkowski oraz młody bibliograf Wojciech Chojnacki. Mała, ale doborowa reprezentacja.

To współuczestnictwo ludzi z kraju wydaje mi się odrębnością książki. Ma jakąś symboliczną wymowę. Wymienieni autorzy należą do świata pisarskiego. Czy to samo dotyczy współpracowników emigracyjnych? Czy będzie to tylko książka pisarzy o pisarzu?
Duży nacisk jest położony na wielostronną działalność literacką Janty, ale byłoby zubożeniem, może nawet sfałszowaniem jego osobowości, gdyby się pominęło jego rozliczne działania praktyczne, jego inicjatywy społeczno-kulturalne, chęć i zdolność wpływania na konkretną aktualną rzeczywistość. Sama pani w swoich wspomnieniach mocno podkreśliła tę stronę zjawiska, któremu na imię Aleksander Janta.

Tak, uważam go za niesłychanie dynamicznego pisarza, lecz równie dynamicznego działacza kulturalno-społecznego. Ale jak się panu profesorowi udało ogarnąć tak wielki zakres?
Starałem się o uwzględnienie wszystkich aspektów i o skomponowanie książki, o stworzenie z niej możliwie uporządkowanej całości. *Książka o Grydzewskim*, założycielu i redaktorze potrójnych „Wiadomości" — „Literackich" w Warszawie, „Polskich" w Paryżu i Londynie i „Wiadomości" (bezprzymiotnikowych) wychodzących do dzisiaj — jest ułożona alfabetycznie według nazwisk autorów. Książka o Jancie składa się z sześciu działów rzeczowych.

Może pan profesor przynajmniej ogólnie je opisze — telefon wytrzyma, a ja chciałabym wiedzieć i przekazać Czytelnikom jak najwięcej.
W pierwszej części są zgromadzone prace o zakroju syntetycznym, kuszące się o określenie całości zjawiska lub o wydobycie jakiegoś jednego rysu górującego nad innymi, jak to próbowali zrobić Miłosz i Kott. Druga część obejmuje materiały biograficzne. Ich zgromadzenie nasunęło mi najwięcej trudności. Na kilkaset listów, które napisałem, w tym zakresie było najwięcej strzałów w próżnię, ścigania mylących tropów. Bardzo wybitny i zaprzyjaźniony ze mną pisarz poznański podjął na moją prośbę rozległą i daremną kwerendę. To pośrednio wskazuje na potrzebę i ważność takich usiłowań jak książka o Jancie, ważność podejmowania ich jak najwcześniej. Mimo trudności

udało się zebrać w tym dziale osiem pozycji, które fragmentarycznie oświetlają rozmaite epizody życia, jak okres japoński w ujęciu amb. Tadeusza Romera lub utrwalają pojedyncze, ale ważne szczegóły, jak wspomnienie z lat szkolnych znakomitego „cancerologa" Dr. Michała Laskowskiego z Buffalo.

A dalsze partie książki?
Trzecia jest próbą opisowego i krytycznego ujęcia wielopostaciowej twórczości literackiej Janty — poety, reportażysty, prozaika, eseisty, publicysty, krytyka, tłumacza, wydawcy dokumentów etc. Jest to oczywiście pierwsza wstępna próba otwierająca drogę dalszym, bardziej szczegółowym i pogłębionym badaniom. Następna część jest poświęcona działaczowi. Wydaje mi się ona najbardziej rewelacyjna i fascynująca. Odkrycie przez Jantę fenomenalnego tancerza hinduskiego Rama Gopala ukazane jest z dwu stron, także w oryginalnych, napisanych specjalnie dla książki jego wspomnieniach. Znakomici dziennikarze dwu pokoleń: red. Ignacy Morawski i red. Bolesław Wierzbiański oceniają indywidualność i ewokują profil duchowy Janty. Cztery szkice dotyczą pionierskiego okresu Janty w Buffalo. Jest wśród nich wzruszające wspomnienie mezzosopranistki w europejskiej skali Geni Las (z domu Jakubczak) rodem z tego miasta, mieszkającej obecnie w Mediolanie. Dwa artykuły ukazują Jantę we współpracy z drukarzami-artystami (Girsem i Gliwą). Dr Aleksander Hertz opisuje jego „przygodę księgarską". Nie pominięto nawet zainteresowania Janty młodzieżą polsko-amerykańską.

Już bym chciała to wszystko czytać...
Obawiam się, że musi Pani na to poczekać, a przede wszystkim wysłuchać mnie do końca. W przedostatniej (piątej) części zgromadziłem wspomnienia ściśle osobiste: prof. Richarda Angella (jest to drugie obok Normana Cousin'a, redaktora „Saturday Review" wspomnienie Amerykanina i jedna z pięciu prac w języku angielskim), wybitnej malarki polskiej z San Francisco „Kali" (Weynerowskiej), Gordona, Duszy, Łyska i mego ucznia Wojciecha Juszczaka, którego po studiach w University of Chicago „przekazałem pod opiekę" Janty. I wreszcie...

Jeszcze coś?
...już koniec. Książkę zamykają trzy pozycje zupełnie innego rodzaju: kalendarium dat życia, bibliografia książek Janty opracowana przez wybitnego bibliografa emigracyjnego z Kalifornii Jana Kowalika i zestawienie prac rozproszonych po czasopismach (ponad siedemset numerów) dokonane przez wspomnianego już bibliografa krajowego Chojnackiego-syna.

Nie będę składała gratulacji, wołała „hip, hip, hurra", bo teraz musimy już kończyć. Jeszcze jedno pytanie: Czy będzie rozpisana przedpłata na tę książkę, może jedyną w swoim rodzaju?
Przedpłata musi być rozpisana — to jest jedyny sposób jej wydania.

To może przedwczesne pytanie: Czy książka będzie ilustrowana? Janta był sam zamiłowanym fotografem. W jego archiwum, które — jak słyszę — ma być złożone w jednym z czołowych uniwersytetów amerykańskich, na pewno znajdują się fotografie z rozmaitych okresów. Czy nie warto tego dołączyć do tylu zgromadzonych przez pana profesora tekstów?
Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Jan XXIII miał przy jakiejś sposobności powiedzieć: *Io sono solamente il papa* (Jestem tylko papieżem). Jeśli wolno strawestować to powiedzenie, ja jestem tylko redaktorem i współautorem. Spełniłem swoje zadanie, jak umiałem. Reszta zależy nie ode mnie, ale od wydawców, od przedpłacicieli, od potencjalnych czytelników, od przyjaciół Janty rozsianych po całym świecie. I — od pani. Do usłyszenia, ale nie prędko i... na krócej.

(Pierwodruk: „Dziennik Polski", Detroit, 26.05.1976.)

Róża Nowotarska (Stany Zjednoczone)